



ROK LVIII

NR. 49

MISŁY GODNIOWE I ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, 5 GRUDNIA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Krok w przyszłość—H. C. Reforma ustroju szkolnictwa—*Jadwiga Krawczyńska*. Nie wstydę się—*Z. Zawiszanka*. Sigrid Unsted—*Z. R.* Kartka z dziejów katolicyzmu w Rosji w pierwszej połowie XIX wieku (c. d.)—*R. M. Blüth*. Świat kobiecy (c. d.)—*Maria Grossek-Korycka*. Wystawa „Pro Juventute” w Bernie—*Helena Boguszewska*. Zdrada (nowela)—*Władysław Rymkiewicz*. Pan w futrze (nowela)—*Hanna Skarbek*. Stanisław Wyspiański—*Z. P.* Zofja R. Nałkowska—*C. Walewska*. Ś. p. Antonina Opiełińska—*J. W. K.* Nic ważnego—*Maria Kuncewiczowa*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Laleczka własnej roboty. Futra na wyst. wie paryskiej—*W. D.* List z Paryża—*Sekwa*. Modne damy w epoce romantyzmu—*Spero*. Francja o reformie gospodarstwa domowego—*Felicja Sachsówna*. Kultura pieczarek—*J. S.* Naleśniki—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Korespondencje działu praktycznego. Komunikat Bura Prasowego. Dodatek powieściowy: „Posłanictwo Jasia” (nowela)—*Anna Limprechtówna (Orsyd)*. „Bajka o Alladynowym pierścieniu”—*L. M. Rogowski*. ARKUSZ WZORÓW.

KROK W PRZYSZŁOŚĆ

Do sejmu wpłynął projekt ustawy „O powszechnym obowiązku wychowania fizycznego młodzieży i o przysposobieniu wojskowym”.

Projekt ten, porządkując samorzutne poczynania społeczeństwa i stawiając obowiązkowość na miejscu działania ochotniczego, wprowadza w życie narodu nowe i bardzo ważne czynniki.

Obowiązek wychowania fizycznego wedle projektu jest istotnie powszechnym. Obejmuje bowiem młodzież szkolną obojej płci we wszystkich szkołach państwowych, samorządowych i prywatnych. Ponadto zapewnia opiekę i pomoc rządową tym stowarzyszeniom, które mają za zadanie organizowanie wychowania fizycznego dla młodzieży poza szkolnej, męskiej i żeńskiej, i które mają na to odpowiednie upoważnienie władz.

Inaczej jest z przysposobieniem wojskowym.

Jest ono obowiązujące dla młodzieży męskiej od klasy VI szkoły średniej, oraz od odpowiedniej pod względem wieku uczniów, klasy w szkołach zawodowych, doksztalających, a także od trzeciego kursu seminarjów nauczycielskich. Nadto „Wprowadza się powszechny obowiązek przysposobienia wojskowego w wyższych uczelniach dla młodzieży męskiej, która z powodu wieku lub korzystania z odroczeń,

nie zadośćuczyniła jeszcze obowiązkowi służby w wojsku stałem”.

Co do przysposobienia wojskowego młodzieży żeńskiej — artykuł 3-ci Ustawy głosi:

„Wprowadza się do szkół żeńskich państwowych, samorządowych i prywatnych, zawodowych, doksztalających i seminarjów nauczycielskich, jako przedmiot nadobowiązkowy przysposobienie w zakresie sanitarnym, ratownictwa i opieki nad żołnierzem”.

O młodzieży żeńskiej wyższych uczelni w sprawie przysposobienia wojskowego ustawa milczy

Celem kształcenia kierowników i instruktorów wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego dla wojska, szkół i stowarzyszeń, oraz zapewnienia jednolitości w wychowaniu fizycznym ustanawia się Centralny Instytut Wychowania fizycznego. Statut Instytutu ustali Min. W. R. i O. P. w porozumieniu z M. S. Wojsk. i M. S. Wewnętrznych. Nadto przy Ministerstwie Oświaty ustanawia się Naczelną Radę wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego, jako organ doradczy i opinjotwórczy w zakresie prac objętych artykułami 1, 2, 3, 4, 5, 6 i 10-tym niniejszej ustawy.

Jak widać z powyższego projektowane są dwa ciała kierownicze, z których jedno ma być zapewne

bardziej fachowem, drugie przedstawiać ma prawdopodobnie opinię społeczeństwa i posiada tylko głos doradczy.

Ważnym jest jeszcze artykuł 6-ty, który zapowiada obowiązkowe przeglądy lekarskie i próby sprawności fizycznej dla młodzieży męskiej, podlegającej przysposobieniu wojskowemu, oraz dla młodzieży żeńskiej w szkołach średnich, zawodowych, kształcących i w seminarjach nauczycielskich, w okresach ustalonych przez Ministerjum W. R. i O. P.

Ten ostatni paragraf dotyczy zapewne tylko zakresu wychowania fizycznego, ponieważ tylko wychowanie fizyczne jest obowiązkiem dla młodzieży żeńskiej. Tego jednak ustawa nie uwydatnia.

Pozatem mieści ustawa artykuły, odnoszące się do ulg wojskowych, jakie przysługują młodzieży męskiej, na podstawie odbytego przysposobienia wojskowego, oraz artykuły zobowiązujące zarządy gmin miejskich do wyznaczenia terenów, na boiska, strzelnice i t. p., służyć mające przysposobieniu wojskowemu.

Artykuł 25 wreszcie mówi o zabezpieczeniu rodzin osób, które poniosły śmierć, i osób, które doznały uszkodzenia zdrowia, lub okaleczenia przy wykonywaniu przepisów ustawy.

Oto są najważniejsze i najogólniejsze zarysy projektu, stanowiącego ustawę ramową, w którą właściwe życie tchnąć mają Ministw. Wyznań Religijnych i Ośw. Publ., Ministerstwo Spraw Wojskowych, Wewnętrznych i Opieki Społecznej, wreszcie projektowany Instytut Wychowania Fizycznego, oraz Naczelna Rada wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego.

Młodzieży żeńskiej dotyczą artykuły 1-szy, 3-ci, 6-szy, 8-my i 10-ty.

Artykuł 1-szy ustala powszechny obowiązek wychowania fizycznego młodzieży, 3-ci, zacytowany już przez nas, wprowadza do szkół żeńskich przysposobienie wojskowe, jako przedmiot nadobowiązkowy, 6-ty, również zacytowany, zapowiada w szkołach żeńskich obowiązkowe przeglądy lekarskie i próby sprawności fizycznej.

Artykuł 8-my głosi, że „Młodzież szkolna może być zwolniona od obowiązków wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego, a młodzież pozaszkolna może być do wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego nie dopuszczona jedynie ze względu na stan zdrowia“.

Artykuł 10 ty zapowiada poparcie Państwa dla akcji przysposobienia wojskowego kobiet w słowach następujących: „Stowarzyszenia, mające na celu udostępnienie wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego w zakresie pomocniczych rodzajów wojska młodzieży żeńskiej po 18 latach, nie dążące prz tem do żadnych celów politycznych i uposażone do tego rodzaju pracy przez władze państwowe, będą korzystały z opieki i pomocy ze strony Państwa w zakresie, jaki ustalą Ministerstwo Spraw Wojskowych i Spraw wewnętrznych“. W innych artykułach znajdują się odpowiednie zapewnienia dla stowarzyszeń męskich.

Na razie pomówić tu pragniemy tylko o tem, co w ustawie dotyczy młodzieży żeńskiej.

Ogólne wrażenie jest, że sprawa posunęła się o parę kroków naprzód od chwili, gdy po zwinięciu Ochotniczej Legji Kobiet, służbę wojskową kobiet traktować poczęto jako chimere, dopuszczalną na czas wojny, nieprzyzwoitą do omawiania w czasie pokoju.

W projekcie rządowym mówi się już, skąpo wprawdzie, ale całkiem poważnie o przysposobieniu wojskowem kobiet w zakresie „pomocniczych rodzajów wojska.“

Co do szczegółów, nasuwa się uwag kilka.

Po dyletancku zredagowany jest artykuł 3-ci i do dyletanckiego załatwienia sprawy zmierza.

Ochotnicze przyspasabianie się młodzieży szkolnej żeńskiej w zakresie sanitarnym i ratownictwa, co właściwie znaczy jedno i to samo, przy znanem przeciążeniu szkolnem, daćby musiało bardzo skąpe i bardzo niedostateczne rezultaty.

By stworzyć dobrą, pożyteczną sanitariuszkę, potrzeba, jak to widać z programów istniejących szkół sanitarnych, dwóch lat wyteżonej pracy.

Czemże więc byłoby przysposobienie do zawodu sanitariuszki, obejmujące jakieś kilkanaście godzin rocznie w ciągu, i rzpuścmy, ostatnich dwóch lat nauki szkolnej?

Niczem!

Równałoby się tym różnym sześciu i trzytygodniowym kursom, które urządzone w czasie wojny, pcheły w szeregi sanitariuszek wojskowych element raczej szk dliwy, niż pożyteczny.

A całkiem już zrozumieć niepodobna, w jaki sposób w ciągu lat nauki szkolnej możnaby dać uczniocy pojęcie o opiece nad żołnierzem, która ostatecznie ustalonej teorii nie posiada, i zasada się głównie na praktyce.

W ciągu lat nauki szkolnej niema czasu na wyspecjalizowanie się w jakimkolwiek rodzaju wojskowej służby pomocniczej. Należy więc tego niefortunnego pomysłu zaniechać, a natomiast wprowadzić do szkół żeńskich ogólne przygotowanie wojskowe, polegające na mustrze, zapoznaniu się z organizacją armji, regulaminem, terenoznawstwem i t. d. Będzie to podstawa, na której potem, po opuszczeniu szkoły, łatwiej da się zaszcześcić jakąś specjalnością.

Charakterystyczne też jest wsunięcie w ten paragraf ustawy tylko służby sanitarnej, ratownictwa i opieki nad żołnierzem. Jest to ustępstwo dla nieprzychylnie usposobionej opinji publicznej, a właściwie sejmowej, która nie rozumie, że równie niezbędne dla armji w czasie wojny są inne rodzaje służby pomocniczej kobiecej: biuralstka, służba łączności, intendentura, służba wywiadowcza, oświatowa i t. d. Do wszystkich tych rodzajów służby podczas wojny 1920 r. wprowadzono kobiety. Okazały się one wtedy niezbędne i zapotrzebowania na nie różnych urzędów, komend i dowództw pzewyższało o wiele możność i siły ówczesnych wojskowych organizacyj kobiecych.

O tych innych rodzajach służby mówi artykuł 10-ty, przewidujący pomoc Państwa dla stowarzyszeń, które mają na celu wyszkolenie kobiet w różnych rodzajach pomocniczej służby wojskowej.

Razem wzięte stanowią więc paragrafy te znaczny krok naprzód w rozwoju idei pomocniczej służby wojskowej kobiecej.

Natomiast niezrozumiałem jest milczenie ustawy o młodzieży żeńskiej szkół wyższych. Niezrozumiałe tembardziej, że w r. 1920 wszystkie lekarki powołane zostały do służby wojskowej, tak samo obowiązkowo, jak lekarze, tylko bez praw, przysługujących tym ostatnim. W przyszłej, ewentualnej wojnie napewno zaszłoby to samo. Pod tą samą kategorię podciągnięteby też zapewne zostały dentystki i aptekarki, a prawdopodobnie także i chemiczki.

I oto wszystkie te kategorie kobiet z wyższym wykształceniem znajdują się w armji, bez żadnego przysposobienia, bez możliwości orientowania się w tym złożonym wielce organizmie, bez oswojenia się z jego duchem, tak odrębnym od wszystkiego, z czem spotyka się człowiek w życiu cywilnem.

Dlatego też, o ile zgodzić się można z różnych względów na traktowanie przysposobienia wojskowego w żeńskich szkołach średnich, jako przedmiotu nadobowiązkowego, o tyle w szkołach wyższych, zwłaszcza na medycynie, chemji, dentystyce i aptekarstwie, należałoby wprowadzić przysposobienie wojskowe, jako obowiązek, ciążyący jednakowo na młodzieży żeńskiej, jak męskiej.

Istnieje w projekcie omawianej ustawy jeszcze jedno przeoczenie.

Mówi się o zaopatrzeniu rodzin osób, które poniosły śmierć i osób, które uległy uszkodzeniu zdrowia, lub okaleczeniu na skutek wykonywania przepisów Ustawy. I tu należałoby wyraźnie zaznaczyć, że odnosi się to zarówno do kobiet, jak i do mężczyzn. Wprawdzie wyrażenie „osoby“ można interpretować, jako stosujące się do obu płci, jednakże w tym wypadku wyraźniejsza interpretacja byłaby pożądaną.

Jest rzeczą niezmiernie ciekawą jak przyjmie Sejm najbardziej nas interesujące artykuły projektu? Wobec musu oszczędności w stosunku do armji stałej narzuca się sama przez się koncepcja armji obywatelskiej, armji powszechnej, takiej armji, w której zarówno mężczyźni, jak kobiety spełnią w sposób dla każdej płci najwłaściwszy, obowiązek obrony Państwa. Widmo przyszłej wojny, już po wymianie pokojowych frazesów w Locarno, tak wyraźnie ukazane palcem przez francuskiego męża stanu wraz z terminem, wyznaczonym na lat 8 do 10 winno Sejmowi naszemu otworzyć oczy na wielką zmianę czasów i na wielkie niebezpieczeństwa, które idą i na konieczność powszechnego przygotowania się wszystkich obywateli do obrony najdroższych skarbów, najżywośniejszych interesów narodowego bytu.

A społeczeństwo?

I dodajmy otwarcie:

A społeczeństwo kobiece?

Czy obowiązek powszechny wychowania fizycznego dziewcząt nie wywoła sprzeciwów?

Czy nie znajdują się matki, które w imię złe pojętej kobiecości będą chciały uwalniać od niego swoje córki?

Nie wiemy. Doprawdy, nie wiemy. Tak byłoby może przed laty kilku. Może dziś już nie spotkamy się z uprzedzeniem tego rodzaju. Opinia u nas dojrzeła w bardzo szybkim tempie. Zrozumienie, że naród, który chce istnieć, musi mieć zdrowych i silnych obywateli, a nadewszystko obywatelki, matki i wychowawczynie przyszłych pokoleń, twórczynie *Rasy* — to przeświadczenie dotarło już, zda się, do najbardziej zapadłych i ciasnymi opłótkami odgradzonych od świata, zakątków.

O to walczyć już chyba nie będzie potrzeba.

A przysposobienie wojskowe kobiet?

Na tym punkcie zdania są bardzo rozbieżne i z tego względu może dobrze jest, że projekt ustawy czyni je zależnem od dobrej woli gorętszych i ofiarniejszych jednostek, że nie narzuca go obowiązkowo wszystkim.

Choć z drugiej strony... czas leci, a niebezpieczeństwa się zbliżają...

H. G.

REFORMA USTROJU SZKOLNICTWA

(P. minister oświaty Stanisław Grabski o swym projekcie ustawy).

Projektowana przez ministra oświaty Stanisława Grabskiego zmiana ustroju szkolnictwa wywołuje niezwykle zainteresowanie, liczne dyskusje, a także niemało sprzeciwów czy to w fachowych kołach nauczycielskich, czy wśród zainteresowanego społeczeństwa rodziców, czy wreszcie w środowiskach politycznych.

Chodzi istotnie o rzecz nie naszą, o sprawę podstawową, o kie-

runek wychowania pokoleń, o przyszłą orientację narodu. Wszystko to wiąże się z systemem szkolnictwa i najobojętniejszy obywatel nie może nie zastanowić się wcale nad tem zagadnieniem.

Można tak, czy owak zapatrywać się na potrzeby szkolnictwa i na zadania pedagogji współczesnej; można chcieć przyszłość Polski oprzeć na tej, czy innej idei — można być stronnikiem obozu czerwo-

nych, białych, czy zielonych — można — biorąc rzecz doraźnie — godzić się na pomysły p. prof. Stanisława Grabskiego, lub zwalczać jego koncepcję — nie można tylko zachować się „neutralnie“. Pierwszy to bowiem minister oświaty w Odrodzonej Polsce, który wogóle zdobył się na myśl twórczą, obejmującą całokształt szkolnictwa i który stworzył konsekwentną strukturę przyszłej szkoły. Złą czy dobrą?

Pożądaną, czy niemożliwą do przyjęcia przez społeczeństwo?..

Zanim losy projektu ustawy o reformie ustroju szkolnictwa rozstrzygną się w Sejmie, wśród głosów dyskusyj wydało się nam interesującym posłuchać głosu samego twórcy i reformatora. P. minister Stanisław Grabski uprzejmie przychylił się do naszej prośby, nie żałując czasu i trudu, aby swe zamierzenia wyjaśnić.

W rozmowie, obok wykładu zasad projektu i szkicowania szczegółowszych jego części, nie brakło dygresyj historyczno-filozoficznych, bądź osobistych wspomnień i doświadczeń. Nie każdy wywiad ma tego rodzaju wdzięk swoisty, płynący z zalet, umysłowości i talentu wymowy, nie każdy mąż stanu umie z taką werwą i tak interesująco przedstawiać swe poglądy na daną sprawę.

Punktem wyjścia było twierdzenie p. ministra oświaty, że szkoła musi dać państwu jaknajwięcej pożytecznych obywateli. Do tego zadania musi być dostosowany ustrój szkolnictwa.

— O ile wiem właściwe zmiany wprowadza pan minister przede wszystkim na terenie szkoły średniej — zauważyłam.

— Nietylko — oświadczył na to p. minister — Szkoła powszechna siedmioklasowa pozostaje nadal tym ideałem, do którego dążymy u podstaw szkolnictwa. Ale niedość na tem. Projekt mój ponadto przedłuża obowiązek nauki poza 7 lat. Mianowicie dla tych, którzy po ukończeniu szkoły powszechnej nie są w innej szkole, wprowadzam naukę doksztalającą obowiązkową do lat 18-tu.

Dlaczego? Bo dzieci, które kończą szkołę niższego typu zwłaszcza, często jednak później wracają do analfabetyzmu. Po drugie: nauka obowiązkowa musi dać obywatelowi umysłową kulturę i podstawy wiedzy obywatelskiej. Ta nauka o państwie, o ustroju politycznym itd. — aby była skuteczna, musi być dawana młodzieży już dojrzałszej, w wieku 15 — 16 lat. Wreszcie, jak wiadomo, ścisła nauka szkolna nie może być traktowana zbyt utylitarystycznie. Szkoła ma przede wszystkim za cel rozwinięcie zdolności umysłowych, wychowanie charakteru... Z drugiej strony jednak szkoła powszechna, szczególnie na Kresach, które stoją o sto lat wstecz pod względem rozwoju — musi dać realne korzyści ludności, stać się ośrodkiem rozwijania kultury gospodarczej. Trzeba uczyć dziewczęta szycia, gotowania — chłopców rolnictwa i różnych rzemiosł. A znowu wszystkiego tego można uczyć młodzież starszą. Z tych

względów obowiązek nauki doksztalującej jest w naszych warunkach koniecznością.

Pozatem przewiduję w projekcie, ciągnął p. minister Grabski — pewną nowość organizacyjną, a mianowicie tworzenie grup szkolnych. Jest absurdem, aby w każdej miejscowości mogła być pełna szkoła powszechna. Istnieje mnóstwo szkół, które w obwodzie 3 kilometrowym (maksymalna przewidziana ustawą odległość szkoły od miejsca zamieszkania dziecka) nie będą nigdy miały dość dzieci na 7-mioklasową szkołę.

Dokładne opracowanie sieci szkolnej wykazuje ten wpływ zaludnienia na szkołę.

Tu p. minister St. Grabski rozkłada jeden z planów, leżących na stole.

— Weźmy na przykład powiat siedlecki. Gdyby każda szkoła była pełną siedmioklasową, to byłoby w wielu z nich ledwie do 30% dzieci. Tam z konieczności utrzymają się szkoły jedno, dwu i czteroklasowe. Nie można jednak pozbawiać dzieci kształcenia się w szkole wyższego typu. Dlatego łączę szkoły niższego typu w grupy przy szkole 7-mioklasowej. Kierownik tej szkoły jest zarazem kierownikiem całej grupy szkolnej. Dzięki temu przeprowadzona będzie ściślejsza kontrola nad szkołami, przytem kierownik grupy będzie obowiązkowo czuwał nad tem, aby dzieci zdolniejsze mogły przejść do szkoły wyższego typu.

W jaki zaś sposób projekt pana ministra rozwiązuje problem jednolitości szkoły powszechnej ze średnią? — bo to jest przecież jeden z najglówniejszych postulatów, wysuwanych przez nasze sfery pedagogiczne — podkreślam swe zapytanie.

— W ten sposób — odpowiada p. minister oświaty, że ustalam możliwie jednaki program trzech najwyższych klas szkoły powszechnej z trzema niższymi klasami szkoły średniej, ogólnokształcącej. Przejście ze szkoły powszechnej do średniej nie będzie więc przedstawiało tych trudności, co dzisiaj, gdy program jest zupełnie inny.

— W zakresie szkoły średniej projektuje pan minister bardzo dużo różnych typów szkół?

— Dotychczas mamy właściwie dwa typy: tak zwane gimnazjum klasyczne i gimnazjum realne. Rezultat zaś jest taki, że kto z młodzieży nie skończy — z jakichkolwiek przyczyn — szkoły średniej, ten przeważnie niema co z sobą zrobić i wykoleja się. Widzimy to, że w niższych klasach szkoły średniej trzeba tworzyć po 2 i 3 oddziały — po trzech, czterech latach,

zostaje 1 oddział, a do matury dochodzi już stosunkowo niewielu uczniów. Ci, co odpadają po drodze, zasilają masę zdeklasowanych, rozgoryczonych, niedoksztalonych jednostek.

A nam — mówi, zapalając się p. minister — potrzeba jaknajwięcej ludzi do pracy, zawodowców na wszystkich szczeblach społeczeństwa — dziś zaś mamy za duży procent niedouków...

Pomiędzy dzisiejszem odrodzonym państwem polskiem, a Polską piętnastych czasów jagiellońskich istnieje niezmiernie bliska analogja... Tak samo połączenie się kraju po podziałach, dźwiganie się w górę, do potęgi państwowej i kulturalnej...

— Do wspaniałej przyszłości — Wieku Złotego — myślę, nieprzerwywać.

— Nie mamy czasu do stracenia, nawiązuje dalej pan minister. — Chodzi o to, aby młodzież się nie wykolejała, aby miała drogę otwartą od szkoły powszechnej do uniwersytetu i aby na różnych stopniach szkoły mogła zawsze wykształcenie swe ukończyć i iść w życie praktyczne, czyto ze szkoły średniej ogólnokształcącej, czy zawodowej.

— Więc dlatego silna specjalizacja szkoły średniej? — pytam.

— Tak, ale w wyższych klasach! Dziś dziecko dziesięcioletnie, wstępując do szkoły średniej, wchodzi już zwykle tylko zależnie od przypadku — na pewną określoną z góry drogę np. w kierunku humanistycznym i później już bardzo trudno kierunek ten zmienić. Może się okazać, że nie odpowiada on zdolnościom dziecka — bo niezawsze można o tem wiedzieć, gdy ma ono 10 lub 12 lat.. Trzeba, aby dzieci mogły kształcić się według swych uzdolnień. Zdolności, zamilowania można ustalić zwykle dopiero koło 14—15 roku życia. W nowym systemie szkolnictwa, zadaniem rady pedagogicznej będzie skierowywanie dziecka do oddziałów z łaciną lub bez — stosownie do jego zdolności.

Przeprowadzam więc podział szkoły średniej na liceum niższe i wyższe, każde po trzy lata nauki. Niższe odpowiada programowi 5, 6 i 7-mej klasy szkoły powszechnej, w wyższem z reguły muszą być dwa oddziały: z łaciną i bez łaciny. Po liceum wyższem matura, poczem dwuletnie gimnazjum, dające już wyraźną specjalizację.

Jakie możliwości otwierają się przed dziećmi przy tym podziale?

Po skończeniu 4 klas szkoły powszechnej mogą, albo kończyć dalej szkołę powszechną, albo iść do liceum niższego ogólnokształcącego, albo do niższej szkoły zawodowej.

Po skończeniu 7 klas szkoły powszechnej mają do wyboru: wstąpić do wyższego liceum ogólnokształcącego z łaciną i bez łaciny, lub do liceum handlowo-przemysłowego, wreszcie do życia zawodowego.

Po skończeniu liceum i maturze droga otwarta w życie praktyczne (służba państwowa, urzędnicza), albo do gimnazjum. Będą gimnazja filologiczne, humanistyczne (historja i nauki społeczne), biologiczne, matematyczno-fizyczne, handlowe, agrotechniczne, elektrotechniczne, chemiczne, budowlane itd., wreszcie pedagogiczne dla nauczycielstwa szkół powszechnych. Będą one także przygotowaniem do uniwersytetu, politechniki i innych szkół wyższych.

— Pozwoli pan minister, że zapytam, jak projekt ustawy odnosi się do szkolnictwa żeńskiego?

— O kwestja wychowania dziewcząt specjalnie mnie interesuje — żywo odpowiada pan minister. — Mam przecież pięć córek — oświadczam, śmiejąc się. Szkoły dla dziewcząt oczywiście będą takie same, jak dla chłopców. Sądzę, że sześcioklasowe liceum daje najlepsze roz-

wiązanie sprawy dla największej ilości dziewcząt. Dziś dziewczynka w I klasie gimnazjum musi mieć ambicję pójścia na uniwersytet. Ona sama i jej nauczycielka, i rodzice. Tych ambicji intelektualnych nie może zaspokoić więcej, niż 10% kobiet, wychodzących ze szkoły średniej. Życie im na to nie pozwala — wiele z nich nie kończy studjów uniwersyteckich, bo spadają na nie obowiązki rodzinne, które zawsze bliżej dotyczą kobietę, inne wychodzą z mężem i też nie mogą dalej studjować.

Z mej praktyki profesorskiej pamiętam takie wypadki, gdzie bardzo zdolna uczennica musiała rzucić uniwersytet i wziąć się do zarobkowania na utrzymanie rodziny po śmierci ojca...

Z drugiej strony intelektualne zajęcia powodują lekceważenie tych robót domowych i praktycznych, które jednakże są treścią życia olbrzymiej większości kobiet.

Po liceum dziewczynka ma drogi otwarte, czy do gimnazjum pedagogicznego, handlowego, czy do szkoły gospodarczej. Do studjów wyższych dojdą tylko te, które zdecydowane będą je ukończyć.

Trzeba przecież patrzeć na życie! Jaką tragedją dla wielu kobiet ze studjami jest małżeństwo, gdy kobieta musi zająć się domem i wychowaniem dzieci! Zawsze czuje się pokrzywdzona przez życie, które nie pozwoliło jej rozwinąć skrzydeł...

Jeszcze jedno.

Niech pani zaznaczy co do wychowania dziewcząt, że jestem bezwzględny przeciwnikiem koedukacji. Nam potrzeba wyraźnych, określonych typów! Na całej historii naszej ciążyły typy połowiczne... niezdecydowane. Niech chłopcy chowają się po męsku, a dziewczęta po kobiecemu.

Dlatego też stanowczo jestem za tem, aby w szkołach żeńskich zwłaszcza w wyższych klasach uczyły nauczycielki — kobiety. Dziś mamy ich już wystarczającą liczbę z odpowiednimi kwalifikacjami. Tylko kobieta może wychować kobietę — z przekonaniem podkreśla p. minister oświaty.

Zanotowałam te interesujące poglądy wiernie, zastanawiając się nad tem, jaki oddźwięk i wrażenie wywołają w społeczeństwie kobiecemu.

Jadwiga Krawczyńska

NIE WSTYDZĘ SIĘ!

„Znalazła się kobieta, która nie wstydziła się oświadczyć...”

Pani M. J. Wielopolska uczuła się oburzoną moim artykułem p. t. „Protestujmy!” (nr. 33 „Bluszczu”) i umieściła odpowiedź w poznańskim „Przeglądzie Porannym”. Dziwnym zbiegiem okoliczności, mimo usilnych starań, dopiero po 2 miesiącach udało mi się przeczytać ten „Protest na protest” — i z kolei ja protestuję... przedewszystkiem przeciw takiemu właśnie tonowi polemiki.

Trudno mi było doprawdy przypuścić, że moje nawoływanie do unieszkodliwiania gwałcicieli małych dziewczynek będzie porównane („kubek w kubek”...) do rozstrzeliwania przez bolszewików dzieci, zarażonych nosacizną, albo do wydawania starców na pożarcie niedźwiedzim góskim!

I trudno też uwierzyć własnym oczom, gdy wybitna autorka polska, ta sama, co tak pięknie rozmawiała niegdyś z Mereżkowskim, — teraz, cytując dawne przepisy prawne, zestawia na jednej linii „kadzień wartości 10 groszy” i... shańbienie kobiety!

Żaden chyba nieuprzedzony czytelnik nie wynioskował z mego

artykułu, jakoby apoteozowała wogóle prawo średniowieczne: ja tylko podnosiłam jego wyższość w tym jednym punkcie nad naszymi obecnymi pojęciami.

„Życie ludzkie było w owych czasach głupstwem — pisze p. Wielopolska — natomiast odwaga i cześć rycerska była wszystkim” Tak jest — i w tem dochodzono często do absurdów, dziś dla nas wstrętnych — ale my za to odwróciliśmy ten stosunek zbyt gruntownie. Rozrzuściliśmy się nad życiem każdego wyrzutka — zaś cześć (niewieścią w tym wypadku) stała się już dla nas czemś tak bagatelnym, że ani prawo jej nie chroni, ani moja zaciekła przeciwniczka nawet słówkiem jednem w obronie jej nie staje...

A przecież dominującym tonem w moim artykule było upominanie się o to właśnie — nie zaś nastawianie specjalnie na karę śmierci. Wszak w konkluzji piszę wyraźnie: „Jeśli społeczeństwo może sobie na to pozwolić, to niech buduje dla gwałcicieli nieletnich takie do-

my, jak dla obłąkanych — z kratami w oknach i mocnymi zamkami u drzwi — a jeśli nie, to musi się znaleźć inny sposób na ich radykalne unieszkodliwienie.”

O ten radykalizm właśnie mi idzie — radykalizm w obronie bezpieczeństwa młodzieży — a nie konieczność o przelewaniu krwi czyjejkolwiek. Będąc w tem zupełnie konsekwentną, nie wstydzę się istotnie ani trochę, że droższa mi jest niewinność i zdrowie dzieci polskich, niż życie kilkunastu zdegenerowanych indywiduali. I więcej mnie to razi i boli, że one chodzą sobie wolno po świecie, niż gdyby je, w imię dobra publicznego, zgładzono.

Nie potrafię nawet wmyślić się w ten typ uczuciowości, który rozczuła raczej przedśmiertną grozą skazanego zbrodniarza, niż bezbronność normalnego dziecka wobec tegoż złoczyńcy, któremu pozwolono prawie bezkarnie czynić zadość swoim zbroczonym instynktom!

Moja humanitarność ma rzeczywście „inną formę” — i chyba zdrowszą...

Z. Zawisanka

SIGRID UNDSET

(Laureatka nagrody Nobla za rok 1925).

Ku zdumieniu całego intelektualnego świata nagrody Nobla za dzieło literackie nie dostał i w tym roku ani Gorki, ani Blasco Ibanez, których kandydatury wysuwano wtedy, gdy najwyższe to odznaczenie przypadło w udziale Reymontowi. Otrzymała je kobieta — znakomita norweska powieściopisarka — Sigrid Undset.

Sigrid Undset poświęciła całe swoje życie studjowaniu kobiety. Ale nie studjowała jej z chłodem chirurga, który za chwilę ma zanurzyć skalpel w żywym ciele chorego, ani z rozważą psychologa, który pragnie na podstawie badań psycho-analitycznych poznać duszę człowieka. Ona tę wiwisekcję robiła na sobie, w swoim gorącym sercu. W tysiącach serc kobiecych widziała serce własne, z jego tęsknotami, niepokojami i burzami.

I naodwrot: w jej sercu zjednoczyły się wszystkie serca żyjących dokoła niej kobiet. Stąd prawda jej powieści, stąd ta prawda, która dusze zniewala i każe wierzyć, że to, co przeżyły bohaterki powieści, mogłaby przeżyć każda kobieta, a może już przeżyła, tylko nie uświadamiła sobie tego w tak artystycznej formie.

Dzieło Sigrid Undset, to jakby historia rozwoju duszy ludzkiej od słabej i kobiecej Marty Ulje, aż do silnej i zdrowej Krystyny Lavransdatter. Ta ostatnia jest bohaterką trzytomowej powieści, noszącej ten sam tytuł, powieści, która ukazywała się częściowo w roku 1920—21—22 i rozślawiła nazwisko autorki.

Tłem powieści jest średniowiecze, ale nie można jej nazwać powieścią ściśle historyczną, bo epoka ta w historii Norwegii, czyli w początku wieku XIV-go nie obfituje w wypadki. Robiąc w ciągu lat piętnastu studja nad stosunkiem kobiety do mężczyzny i dając im wyraz w wielu powieściach i nowelach współczesnych, jak: „Wiek uszczęśliwym“, „Marcie Ulje“, „Jenny“, „Wiosnie“, „Blasku czarodziejskiego

zwierciadła“, „Mądrych dziewczicach“, „Wiosennych chmurach“, „Legendzie Vigli Ljot“, „Vigdis“, „Legenda świętego Haliarda“ i t. d. Undset zwróciła się do wieków średnich i postanowiła odmalować zwyczaje i zabobony wówczas panujące: „Krystyna Lavransdatter“ to dzieło głęboko religijne i idealistyczne. Autorka, nawróciwszy się niedawnymi czasy na katolicyzm, dała w niem wyraz głębokiej wierze w zwycięstwo ideałów chrześcijańskich.

Krystyna Lavransdatter to jedna z najwznioślejszych i najszlachetniejszych postaci we współczesnej literaturze europejskiej. Jest to istota oczyszczona przez cierpienie, istota, która w ciężkiej walce o błąt zdobyła wiarę, dającą siłę duchową i bezgraniczną wyrozumiałość dla cudzych grzechów i win. Jest to wspaniały typ kobiety w pełni rozwoju duchowego i fizycznego, kobiety mocnej, polegającej na samej sobie, nieczulej na zło, podłość i małoduszność, które się plenią dokoła niej. To jakby, harmonja duchowej i fizycznej doskonałości, znajdującej swój wyraz w niezwykle silnej i zdrowej kobiecie.

Trudno w krótkim szkicu zanalizować dzieło powieściopisarki norweskiej. Można jedynie podkreślić to, że Undset stara się zobrazować całe życie uczuciowe kobiety, a więc: rozbudzenie instynktu płciowego u młodej dziewczyny, uczucia kochanki, żony i matki. Sama żyjąc pełnią macierzyńskiego życia, umiała przeniknąć duszę dziecka i dlatego jej studja o dziecku: „Sześć chust“ i „Dziewczęta“ mają w sobie tyle akcentów prawdy.

Mężczyzna w dziejach nagrodzonej autorki schodzi na plan drugi. To już nie Don Juan, ani Siegfried, który zabija smoka. Jest to istota słaba, nie mająca woli, ani siły do czynu. Bohater „Wiekuszczeniowego“ Krystyn, posiada tkliwość kobiecą, za łada przyczyną płacze. Pieszczoty jego są pieszco-

tami dziecka. Podobny jest do romantycznego René, który na wstąpił do powszedniego życia. Charakteryzuje go bezgraniczna dobroć, z jaką znosi kaprysy żony. Te same cechy posiada Torkild w „Wiosnie“. I jeden i drugi wątpią w miłość swych żon. Fryderyk w „Pani Waage“ jest karykaturą mężczyzny. Przyjmuje z tępą pokorą ciężki los, nie próbując wzięść się z życiem za bary.

Chcąc uwypuklić olbrzymią siłę moralną Krystyny Lavransdatter, Undset przeciwstawiła jej Erlanda. Jest to istota jeszcze słabsza od Krystyny, pełna dziecięcej naiwności i prostoty. Krystyna w stosunku do Erlanda rozwija swe macierzyńskie instynkty. Jest to jakby potwierdzenie teorii, że kobieta w stosunku do ukochanego pragnie być także i matką, pragnie go otoczyć niemal macierzyńską tkliwością i opieką, szukając w ten sposób jednocześnie ujścia dla obu uczuć: kochanki i matki.

W każdym z wyżej wymienionych utworów wyczuwa się kobietę o szeroko rozwiniętej uczuciowości, kobietę sentymentalną, przypominającą znane bohaterki George Sand, nie mającą nic wspólnego ze shisteryzowaną i skoinplikowaną kobietą dzisiejszą. Jest to prawie zawsze idealistka, ale umiejąca spoglądać szczerze i otwarcie prawdzie w same oczy.

Należy żałować, iż do tej pory żadna z powieści, ani nowel znakomitej pisarki norweskiej nie została przełożona na język polski. Sądzymy, iż wobec rozgłosu, jakiego dziś nabrała „Krystyna Lavransdatter“, przez to iż właśnie ta powieść skłoniła twórców nagrody Nobla do skierowania wzroku na jej autorkę, przez dewszystkiem Krystynę Lavransdatter ujrzymy w polskim przekładzie, a wtedy sąd nasz o talencie Sigrid Undset będziemy mogli pogłębić i uzupełnić. Z. R.

Nowelę Sigrid Undset p. t. „Dziecko“ będziemy [drukować w jednym z najbliższych numerów „Bluszczu“ (Przyp. Red.)



R. M. B L Ü T H

KARTKA Z DZIEJÓW KATOLICYZMU W ROSJI W PIERWSZEJ POŁOWIE XIX W.

(KSIĘŻNA ZINAIDA WOŁKOŃSKA)

„Historja Zgromadzenia Zmarłychwstania Pańskiego“ ks. P. Jełowickiego zawiera dużo szczegółów, dotyczących życia bohaterki naszej w okresie 1838—43 r.

Przedewszystkiem z listów Semenienki i Kajsiewicza dowiadujemy się o serdecznym przyjęciu, jakiego ci „wychowankowie“ Mickiewicza doznali w salonie przyjaciółki tegoż Księżna wzięła do serca ich sprawę założenia polskiego zakonu. Ułatwia im widzenie w Watykanie, proteguje, poleca, jak może. Młodzi entuzjaści, prozelici, jak ona, znajdują w pałacu Wołkońskiej ostoję. Zaprzyjaźniają się z domownikami. Przedewszystkiem z synem, ks. Aleksandrem, „tak poprawnej rasy Moskałem, jakiego nie widzieli jeszcze“.

Zaprzyjaźnili się także z młodym genialnym piarzem rosyjskim, następcą Puszkina, Michałem Gogolem. I jego próbują na katolicyzm nawrócić, a nawet na...polskość.

Sprawa stosunków Zmarłychwstańców z Gogolem jest bardzo ciekawa, warto się więc jej przyjrzeć choćby pobieżnie.

Rosyjska krytyka dopiero w 1902 roku zetknęła się z faktem zbliżenia Gogola do katolicyzmu w związku z pracą K. S. Jełowickiego. Poruszył to zagadnienie A. Koczubinskij w artykule p. t. „Dla przyszłych biografów Gogola“¹⁾.

Sprawa jest dość zawiła. Nie mogąc na tym miejscu szerzej jej rozwijać, podamy tylko najważniejsze dane psychologiczne i biograficzne. Przedewszystkiem nadmienić należy, że pod względem pochodzenia Gogol był jednakowo bliski Polsce i Rosji. Był potomkiem zbiedniałego rodu szlacheckiego, wywodzącego się z Polski.

Gogolowie-Janoscy później skoczyli w Petersburgu. Gdy poznano się na talencie Gogola, wciągnięto go do życia kulturalnego wielkoruskiego. Zajął się nim Puszkina, Żukowski. Puszkina traktował go, jako równego sobie pod względem talentu.

Gogol odpłacał swemu mistrzowi niemal ubóstwieniem. Zrazu Petersburg go pochłoniął. Gogol stał się rosyjskim patriotą. W głębi jednak duszy tkwiło w nim bolesne rozdwojenie²⁾.

Jako typ psychiczny Gogola zalicza się do natur wyjątkowo nieharmonizowanych. Pesymizm satyryka graniczył z chorobliwością.

Nic więc dziwnego, że wkrótce po zamieszkaniu w Petersburgu w 1836 r. — Gogol z tego siedliska najstraszniejszej reakcji ucieka zagranicę.

Powodem ucieczki jest przyjęcie, jakiego doznała jego komedia „Rewizor“, Gogol ucieka do Włoch. Już w Europie dowiaduje się o śmierci nagłej Puszkina, który ginie w pojedynku (pojedynek jest wynikiem intrygi dworskiej). Wpada w rozpacz. Z Rzymu pisze listy pełne nienawiści dla Petersburga.

Należy też nadmienić, że mniej więcej w tym samym czasie ucieka z Moskwy profesor uniwersytetu Włodzimierz Peczerin, który po kilkoletniej tułaczce przystań znajduje dopiero... w klasztorze redemptorystów w Belgji.

Inny myśliciel rosyjski Piotr Czadajew autor słynnego „Listu filozoficznego“, w którym przed Rosją „zagubioną w świecie myśli Bożej“, bo odciętą od jedynie ożywczych źródeł Prawdy katolickiej, stawia hamletowskie: „być albo nie być“. Ten, nawracając się na katolicyzm z Rosji nie uciekł. I czekała go straszna kara Mikołaja — przymusowe szaleństwo, stałe wizyty policyjno lekarskie. Car w ten sposób unicestwić próbował groźną myśl Czadajewa.

Takie było przygotowanie do zetknięcia się Gogola z domem Wołkońskiej.

¹⁾ A. Koczubinskij: „Buduszcim biografom Gogola“. Wiestnik Jewropy 1902.

²⁾ Rozdwojeniem tym zajął się specjalnie Jefimenko w artykule p. t. „Rozdwojenie narodowe w twórczości M. Gogola“ (Nacionalnaja dwojstwienność w tworczestwie Gogola), Wiestnik Jewropy 1912 r. (VII) str. 229 i nast.

Zbolały, schorzały Gogol znajduje tam macierzyńską opiekę. Prędko przychodzi do siebie.

Włochy działają na niego leczniczo, zbawczo

Do zimnej Rosji nie chce wracać za nic. „Z każdym rokiem, z każdym miesiącem — pisze w roku 1838 z Rzymu — czuję, że coraz bardziej zrywa się kontakt między mną, a mą zimną ojczyzną“.

Twórca „Rewizora“ przez całe życie żyje odruchami, jest mimo realizmu w twórczości jednym z najkrańcowszych romantycznych marzycieli egotystów.

Jest też niebywale ambitny. Marzy o jakieś wielkiej misyjnej działalności. Po śmierci Puszkina sądzi, że jest powołany do tego, by stanąć na czele tego wielkiego „słowiańskiego morza“, o jakim pisał Puszkina w wierszu „Oszczercom Rosji“.

Zetknięcie się z Semenenką, Kajsiewiczem, Zaleskim, Mickiewiczem wielkie zrobiło na nim wrażenie.

Cóż w tem dziwnego — w momencie bolesnego rozdwojenia, szukania wyjścia z samotrzasku wewnętrzznego, danem mu było zetknąć się z ludźmi o silnej wierze.

Semenenko, był przecież pobratymcem, synem prawosławnego ukraińca; nie przeszkadzało mu to jednak stać się entuzjastą katolikiem, no i powstańcem polskim.

Zaleski był wodzem „ukraińskiej szkoły“, był jednym z tych, z którymi mógł Gogol mówić z zachwytem o pięknie Ukrainy.

Mickiewicz był niegdyś przyjacielem serdecznym zmarłego mistrza — Puszkina.

A ci inni rzymscy przyjaciele: ks. Wołkońska, umierający hr. Wielhorski (protektor poety) promieniowali Prawdą katolicyzmu.

Gogol zaczął skłaniać się ku katolicyzmowi i ku Polsce.

Ks Kajsiewicz w „Pamiętniku“, (już po zerwaniu z Gogolem) tak pisze:

„Poznaliśmy Gogola, małorusina, zdolnego pisarza wielkoruskiego, który się zrazu do katolicyzmu i Polski mocno skłaniał, odbył nawet szczęśliwie podróż do Paryża, dla poznania Mickiewicza i Bohdana Zaleskiego; potem zyskany przez rząd (?) wszedł do Towarzystwa propagandy Schizmatyckiej, założonego w Petersburgu.“ (c. d. n.)



MARJA GROSSEK-KORYCKA

F E L J E T O N

ŚWIAT KOBIECY

CZEŚĆ II.

72

NOTATKI PSYCHOLOGICZNE

Stając na pograniczu dwóch epok, mam przed sobą mgławicę tego, co się powolnie już staje... a za sobą mgławicę tego, co się dzieje za dniem już rozkłada...

To jest jeszcze — ale już w stadium niknięcia.

„Ona miała kochankę“ jest że to za dni naszych na prawdę jakimś takim piętrem hańbiącym?

Dla siebie?... dla swojej mamy, córki, siostry, siostrzenicy? .. No — nie! Ale, jak się chce kogoś zgubić?!... O! to jest zawżę jeszcze środek bardzo skuteczny!

Nie tak dawno — tuż, tuż przed wojną tą kolubryną zatarasowano bramę do akademii — w Paryżu! W tym Paryżu, gdzie moralista odsapnie sobie, natrafiwszy na romans normalny, mężczyzny z kobietą — tyle tam tych zwyrodniałych typów miłości — i ten Paryż zachorował na taką surowość?!

Kto był organizatorem tej szlachetnej akcji!?!...

Mam nadzieję, że choć tym razem nie kobiety? Ale dlaczego kobiety nie obruszyły się? — dla czego nie założyła protestu choć jedna z tych, które stale reprezentują Świat Kobiecy, trzymającą w ręku pióro publicysty?

I nie tak to dawno jeszcze... nie pamiętam w jakim kraju? w Norwegii, czy Portugalii? a może w Holandii! — obchodzono dwa jubileusze dość prędko jeden po drugim, ku uczczeniu dwóch wielkich niewiast.

Obie te dostojnice miały, jako kobiety, opinię jednakową. Wieść chodziła, że ich przekonania rozgrzeszały je na pewne licencje obyczajowe... kłamliwa, czy prawdziwa — nie wiem — opinia ta była dla obydwóch ta sama. Tymczasem jubileusz jednej z nich został skażony (na szczęście w porę ściszym, skandalem): jakaś kategoria kobiet założyła protest przeciw uczczeniu niewiasty, która sobie pozwalała na takie licencje...

Jubileusz drugiej odbył się w całej świetności, nie naruszony zgrzytem żadnego takiego protestu.

Dlaczego?!!

Nie będę tego dochodzić. — Wystarczy mi, że tak było — bo z tego wywodzi się wniosek oczywisty, iż w tych razach prokuratorem oskarżającym nie jest obrażona moralność panująca, (gdyż ta byłaby na

oba jubileusze zareagowała jednakowo), — lecz osobiste porachunki.

Wielka kobieta ma dużo wrogów, a zwłaszcza wrogiń, które atakują, gdy mają szansę bezkarności — a nie atakują, gdy boją się zaczepić. Dostojna Pani, która nie została zaczepioną, miała silniejszą, miała bardzo silną w społeczeństwie pozycję: stała za nią potężna partia.

Zastanówmy się tylko w jak poniżającej dla siebie roli ocknęły się te, które wysforowały się z protestem, dały ze siebie zrobić narzędzie czyjejs niskiej zawiści i zemsty. Jest że to godnym szlachetnej delikatnych uczuć kobiety wdziierać się do duszy cudzej? — deptać jej przeszłości cmentarze? otwierać tłumom na sprofanowanie skarbcze jej doświadczeń, okrwawione nie wiem już jaką męką... i zapieczętowane niejedną śmiercią!...

Po co?! — co nas obchodzą troskliwie ukrywane związki ludzi wolnych, nie krzywdzące nikogo? — Kto ma prawo stawać pomiędzy duszą a Bogiem, oprócz konfesjonału, który jeden tylko może wiedzieć prawdę napewno.

Ewangelja poleca nam wstrzymanie się od sądu, gdyż i my możemy być sądzeni — Ewangelja posiada nie tylko najwyższy ton duchowy — ona jest jednocześnie najbardziej życiowo praktyczną.

Nie bądź tak dumną, choć nosisz wysoko czoło swe białej lilji — i w białych liljach lęgnie się czasem późny robak... a jeśli tobie może nie będzie potrzebnym nigdy miłosierny płaszcz milczenia — kto wie, czy go nie zapotrzebuje twoja córka?!

Kobieta może być szczęśliwą tylko wtedy, kiedy jej kochankiem jest jej mąż.

Tylko mężczyzna może się czuć dobrze w wolnej miłości — kobieta, nigdy!

Dla szlachetnej kobiety mieć kochankę było to zawsze coś bardzo a bardzo nie do pozazdroszczenia!

Miała go może pod grozą rewolweru męża? — a przynajmniej pod grozą śmierci cywilnej, utracenia czci, stanowiska, a nawet kawałka chleba... pod grozą wykołajenia, wyrzucenia za nawias przez społeczeństwo, odepchnięcia przez

najbliższych — pod grozą zelżeń słowami karczemnymi, na które obyczaj dawał nad nią prawo ostatniemu szubrawcowi. I wreszcie o n, ten dla którego tyle wycierpiała i wszystko poświęciła, powie jej kiedyś w rozdrażnieniu jakiejś sprzeczki: „Moja kochana, przecież ty jesteś tylko taką“...

Czyn, który ponosi takie ryzyko, brawuje takie groźby! jest że to wolny czyn rozumnej woli ludzkiej?! — Nie — to są żelazne konieczności ślepych i ciemnych sił... mus Ananke, który skałą przywala pierś człowieka... Ta, która się na takie rzeczy odważa, ma w sobie dość tragedii, aby jej jeszcze wbić drzazgi za paznokcie...

Możą być na swój sposób szczęśliwe, przez brak moralnego zmysłu ciągnące za sobą korowody kochanków, Wietrznice, siostry rusalek i dziwożon.

Świat ma dla nich bezgraniczną wyrozumiałość. Im wszystko wolno — za to, że są wesołe, lekkie i czarowne...

Przywileje poniżające! Zwolnienie z odpowiedzialności równa się odmówieniu im duszy...

Ale ta, która całe życie drżała o swoją dostojność w każdym geście i słowie...

O czystość nawet myśli, o nieskazitelność życia, która była zawsze kryształem... i tylko raz jeden natura płomienna dała się objąć płomieniowi, porwać burzy, wciągnąć otchłani.. Taka, która miała jednego, jedyne nieślubnego męża... inaczej nazwać go niepodobna ze względu na powagę i czystość związku. Ta będzie z surowością bezwzględna, bez żadnych złagodzeń, z wszystkimi obciążeniami, skazana.

Jakkolwiek nad jej głową, uwieńczoną cierniami, z których opadły jednodniowe róże, brzmi zawsze, wypowiedziana przed wiekami. Najwyższa absolucja:

Wiele jej będzie przebaczone...

Do tej absolucji najwyższej nie mają prawa makowe główki wietrznic — gdyż one nic nie kochały — niczego nie poświęciły — i nic im nigdy nie groziło...

Ale szlachetne, dostojne kobiety powinny wydać raz na zawsze po-

stanowienie: milczenia — dla wszystkich!

Bo milczenie, które jest płaszczem miłosierdzia dla Nieszczęśliwej, jest także domem zamkniętym, w którym się piorą domowe brudy Wietrznic.

.....
Czystość, a raczej ślubność*) kobiety jest jej najwyższą cnotą w stosunku do mężczyzny.

Mężczyzna będzie zawsze cenić ją najwyżej instynktownie, w uczuciu — choćby nawet lekcewał w pozorach i teorii.

Mężczyzna słusznie wymaga jej i za nią premjuje kobiety. Słusznie robi, nie poślubiając innej, rozwodząc się z tą, która się cnotie

tej sprzeniewierzyła. Taki jest kąt widzenia jego interesów. — Ale nasz jest inny.

My, kobiety, będziemy w kobiecie szukać innych zalet — będziemy inne wady bojkotować.

Krzywdą wyrządza na kobiecie, lub dziecku przez kobietę, ściąganie na nią najwyższą naszą surowość.

Los nasz był bardzo twardy, od początku świata — i dzisiaj lekkim nie jest, a wątpię, aby kiedykolwiek stał się zupełnie do zniesienia łatwym... Natura jest dla nas macochą — mężczyzna, silniejszy od nas, prawdopodobnie zawsze da

*) Ta, której nie można osiąść bez ślubu.

nam dotkliwie uczuć swą przewagę i będzie wywierać na nas ciężki nacisk swego pierwszeństwa.

W kimże kobieta znajdzie naturalną pomoc i ostoję, jeśli nie w rzeszy kobiet? Solidarność, dziś tak nam obca, może nam ogromnie ułatwić życie — przynieść nam nieoszacowane korzyści.

Otwierają się przed nami perspektywy świetne... Ale zmarnujemy wszystko, nie dopniemy niczego, jeżeli nie wytępiemy w sobie tak dziwnego, wrodzonego kobiecie uprzedzenia do kobiety!... jeżeli trwać będziemy ciągle w tej dzikiej rywalizacji o możliwości, która nastawia każdą przeciw wszystkim i wszystkie przeciw każdej... (c. d. n.)

WYSTAWA „PRO JUVENTUTE“ W BERNIE

A teraz obejrzymy wszystko, co się tyczy dzieci, małych i dużych, zdrowych i chorych, takich, co się jeszcze tylko bawią i takich co się uczą. Aż dopóki nie podrosną, nie ukończą szkoły i nie staną wobec pytania: co robić dalej?

Wystawa „pro juventute“ ma nas przez wszystkie te drogi poprowadzić. Wszystko pokazać.

Czyż naprawdę wszystko? No — chyba nie. Ale dużo rzeczy, pracowicie i celowo nagromadzonych, pod hasłem „dla młodości“.

Zaczynamy od tych najmniejszych.

Białe pokoiki, białe łóżeczka, aparaty do sztucznego karmienia, flaszki, smoczki, mydła, pudry, gąbki, pieluszki, koszulki. Wszystko to nie nadzwyczajne, ani wyszukane, tylko dostępne dla wszystkich, racjonalnie i celowo obmyślane.

W dalszych, białych pokojach stojaki, ławeczki, stoliki, zabawki, obrazki na ścianach, sukienki, fartuszki, podbródki dla osobników, które „już chodzą“.

Potem szkoła: wzorowe ławki, pulpity, teczki, worki do śniadań, książek i t. d. Tablice z wykazami wyników badań nad rozwojem umysłowym, rozwojem pamięci. Tablice statystyczne, ankiety co do ulubionych zajęć i zabaw. Prace dzieci. Rysunki, zdobnictwo.

Tak. Wszystko to dobre, gdy się ma zdrowe dzieci. Ale dla chorych wszystko to nanić.

Pomyślano i o chorych. Jest rada i pociecha. Oto fotografie dzieci w różnych, poważnie bardzo posuniętych stadiach skrofulozy, rachityzmu, gruźlicy kości; dzieci niedorozwinięte, przedwcześnie urodzone, prawie potworne. I zaraz obok różne systemy leczenia; leżakowanie w słońcu, w górach, różne aparaty ortopedyczne, leczenie wodą, powietrzem, odżywianiem. Wykaz środków odżywczych, wskazówek, gdzie się udać, jak zorganizować całą akcję.

Na fotografjach z późniejszymi datami — te same dzieci w różnych aparatach, leżące na słońcu, w górach, czy lesie, w odpowiednich uzdrowiskach, te same dzieci kąpiące się, jedzące, bawiące coraz to lepiej wyglądające, coraz zdrowsze. I w końcu — zupełnie już wyleczone, uśmiechnięte, normalne, zdolne do zabawy i pracy.

Wchodzimy znów w inny dział: szkoła ukończona.

Co robić dalej?

Ogromne tablice głoszą, że w każdym kantonie „secretaire de vocation“ doradza co począć ze sobą, jaki zawód wybrać? Niech tylko chłopak z rodzicami, czy sam, wybierze się do niego, niech odpowie szczerze na szereg pytań: jak mu szło w szkole, co go zajmuje i cieszy, a co nudzi i męczy, czym się najchętniej bawił od małego, co mu najłatwiej przychodzi i t. d.

Razem się zastanowią, namyślą. Wybiorą.

Tak się dzieje z chłopcami! A dziewczęta?

O dziewczętach nic te afisze sekretarjatu nie wspominają. Zdaje się, że los ich jest w pewnej mierze z góry przesądzony. Będą w domu.

Prowadzenie domu tak wzorowe, jak w Danji i w tej części Szwajcarii, utrzymanie tego stopnia czystości i ozdobności — to poprostu praca zawodowa. Żeby to zrozumieć, wystarczy rzucić okiem na takie „wnętrze“ np. na taką kuchnię. I porównać z naszą. Albo nawet już nie porównywać!

Tu znów biblioteka dla dziewcząt wiejskich: książka kucharska, poradnik dla gospodyni, o przerobach owocowych, o prowadzeniu domu, o wywabianiu płam i t. d.

Ani jednej książeczki z wierszami, ani jednej powieści. Wszystko poświęcone technice i wygodzie życia zewnętrznego. Nic dla wewnętrznego.

To doprawdy zastanawiające. Nasuwa się porównanie z Danją. Tam Uniwersytety Ludowe dla kobiet nie dają żadnych praktycznych korzyści. Chodzi wyłącznie o podniesienie poziomu kulturalnego.

No, to już koniec. Obejrzałam wszystko. Z przedsiönka do wystawy weszłam drzwiami na lewo — a teraz mam przed sobą drzwi prawe. Droga od jednych do drugich wiodła przez białe pokoiki niemowląt ze smoczkami, przez zabawy, choroby, i wyzdrowienia, pracę, i szkołę, aż do chwili, w której chłopcy obierają zawód, a na dziewczęta czeka dom.

Wychodzę.

Helena Boguszewska.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Z D R A D A

(nowela)

Nowela odznaczona pierwszą nagrodą na konkursie Koła Polonistów Uniwersytetu Warszawskiego

5

Żyd dreptał niespokojnie w celi.

— My się trochę śpieszymy. — zaczął — ale ja rozumiem... Pan kapitan został zaskoczony, pan był na to nieprzygotowany! Ja się boję, że pan niedocenia powagi sytuacji: my wkrótce odjeżdżamy. Potem byłoby trudno nawiązać na nowo, bardzo trudno... Ja panu mogę jeszcze... dziesięć minut, pan zdąży narysować i napisać — podsuwał mu ołówek do rąk — pan jest w stanie wyższej konieczności; miłość do kobiety i możliwość... jej... jej...

— Żydzie!! — krzyknął nieludzkim głosem Czółno. Tamten zaczął się cofać ku drzwiom.

— Ja panu 10 minut... 10 minut.. bełkotał, wychodząc. Czółno został sam, wydany na łup podłych, niskich pokuszeń. Opadły go, jak wampiry i ssaly aż do serca, aż po szpik w kościach, serdeczną, gorącą krew, życiodajną siłę i wolę.

— Sabino! czy chcesz, żebym tak uczynił? czy chcesz?

Sabino! Ty nie słyszysz! A ja jestem tutaj! tak blisko ciebie! Nieszczęśliwy i bezsilny! Żadnej pomocy, słyszysz? Żadnej!!

Wołał. Krzyczał. Daremnie.

— O kilka kroków od ciebie! Czy wiesz? Sabino! Odpowiedz!

Dopał do ściany i bił głową o czerwone prostokątne cegiel.

Nie słyszała! Nie słyszała!

Załamywał się przed jej wspomnieniem, upadał, zmożony, w otchłań najmniejszych poniżeń i zrad.

— Zdradzę!

Przeraził się tej myśli, przeraził się samego siebie.

A przecież! a przecież nie można inaczej!

— Przecież życie tej kobiety zależy od narysowania przez niego kilkunastu linii, od napisania przez niego kilku obojętnych słów! Gdzie proporcja między jednym a drugim? Stan konieczności! Tak! Bo czy wolno mi poświęcać jej życie dla urojonej uczciwości?! I cóż mi uczciwość?! Jej szczęście dla efemerydy honoru wojskowego?! Więc, z jednej strony — życie! Życie kobiety: ogrom radości, cierpień i trudów, triumfów i poświęceń! Z drugiej — honor... Rozkładał to słowo: pięć liter, niby pięć pałek w książącym herbie! Co to słowo oznacza? Honor? to jest nic, to są pusto brzmiące dźwięki wobec prostego i codziennego słowa: życie! Z jaką

radością poświęci swój honor, swój honor oficerski, aby tylko ona... Bez godności, wyrzucony za nawias, parja... ale za to ona...

A więc pisz! A więc narysuj! cóż jeszcze przytrzymuje ci rękę?

Zawszeć to zdrada!

Wrócił do stołu i położył się piersiami i twarzą na białym pokładzie z desek.

— Gehenna — wyszeptał blade mi usty.

I znowu zaczął odnowa dysku- tować ze sobą.

To, co pomyślał tam przy ścianie, opadło plewami na stół. Oczy, twarz, głowę miał w plewach, które dymiącym miałem usypały się na stole. Przetarł oczy.

— Jestem chory! — Odpoczywał, nie myśląc, aż przyszło nań na nowo ocknienie, i wtedy wyraźnie i ostro zaczął rozumieć, że przeciwstawił istnieniu ukochanej kobiety argumenty nieważkie, frazesy, plewy! Że tak nie można. Że pod pojęciami, które chciałby widzieć błahemi, papierowemi, że pod temi jego nic nieznaczącemi honorem i obowiązkiem tkwi solidny, wrodzony nawyk, waruje groźne i zaczejone memento tych, którzy je ustanowili. Że to nie plewy! że to kamienie! nie! że to kruszce, z których zdawiadawna ukuto twarde okowy, wpijające się w ciało, a w które skowany jest teraz on, Czółno. Że to nietylko on, Czółno, że to wyższa sprawa...

— A więc nie ja winien! To wy! jej krew za was i wasze dziaćki! Nie ja!

Przerażenie dotykało zimną dłonią jego trzepocącego, jak liść topoli, serca.

— Nie?! Nie ja?!

Ale gdy przemyślnym, zezowatym spojrzeniem zajrzał w siebie — o, dziwo! — w sobie samym zobaczył ślepa moc, niewytłomaczone hamulce, które mu paraliżowały rękę. Opuścił ołówek. Wstał i, objawszy rękoma rozpaloną głowę, przyłożył się do zimnych, wilgotnych murów piwnicy.

— O, gdyby!..

Miał nieprzytomne, obłąkane myśli.

— O, gdyby cudu!

Niema cudów! Więc trzeba jeszcze inaczej!

Inaczej! Stanowczą, męską decyzją wyrwie z siebie naleciałości

trzydziestoletnich obcowań, strąsanie pyłu, dymiący ze środowiska, w którym pracował, jadł, spał. Jest zaczadzony! jest niewolnikiem przesądów, które weń przesiąkły! Precz z niemi! Każdy dla siebie! Szczęście jednostki ponad wszystkim! Cóż mi to! Potężnym szarpnięciem woli wyrwie z siebie krwawy kłębek, zrodzonych w obcowaniu z nimi, norm, guseł, wyznań i wiar!!! Cóż mi oni?! Ty jedna!

Różowa, obrzękła twarz generała wzrosła mu nagle w oczach do maski potwora.

— Dla niego? dla tej kukły poświęcać ją? — Jakim prawem? Co ty za jeden? Ktoś ty taki, generale?

— „Ja nic... u mnie tylko — odpowiedzialność“!

Ja, nic! to oni! Niewolno!

— Oni? A ja przeciw nim! Przeciw nim!

Narysuję wszystko, dokładnie, co do cyferki, co do literki, co do milimetra! Dla mnie za to: szczęście w zaciszu. z Sabiną... gdzieś, na krańcu świata... Szczęście w zakątku... we dwoje! A wam! Chii! Wam — zagłada! Cóż mi wy?!

Nie wrócę do was więcej! Nie wrócę! Mówcie co chcecie! Chii! chii! Przyjdzie nieszczęście! Powiedzą — Czółno! Dobrze, Czółno! Nic to! Zbledną im twarze, wykrzywią się usta, zacisną się pięści! Czółno! Nic to! Wpuścił przez zradę sfere wściekłych psów! Na nasze matki! Na nasze córki i żony! Czółno! Cóż mi to?! Niech będzie przeklęta jego pamięć! A cóż! Głupi, wy sobie, a ja sobie! Wy, nieszczęśliwi, z pohańbionemi żonami i córkami, na zgłiszczach! A ja, z Sabiną, szczęśliwi pocichutku... pocichutku, we dwoje! Cóż, wy? Wy? nic!

Tysiące zaciśniętych pięści podniosło się nad jego głowę! Tysiąc skrzywionych grymasem pogardy ust! Tysiąc razy plunęli mu w twarz! Podły pies!

— Przestańcie!

Podły pies! Zdrajca!

— Przestańcie! nie! nie! to nie on! to nie ja!

Zerwał się z ławki, oparł się o ścianę, pot spływał mu obficie z czoła.

— Gehenna! — zapłakał niemięskimi łzami! Zasłonił ręką twarz przed swym płaczem, wstydił się swych łez.

[c. d. n.]

H A N N A S K A R B E K

PAN W FUTRZE

(nowela)

4

Wodzirej w zamszowej, popielatej kamizelce, bożek wszystkich dzierlatek, przetańczył z Mają różową kokardkę mazurową.

Francuzi, delektując się „Bałabuchą”, otwierali z podziwu oczy na widok polaków, tańczących salonowego oberka. Jakiś łysy staruszek, przybyły z Paryża, rzucił pod drobne stopy Maji wyrwane z wazonu zupełnie jeszcze świeże, wonne róże.

Najbogatsza partja karnawału, w postaci chudego chemika z pod Kijowa, zalecała się do niej poważnie. Drugi jakiś wymuskany brunecik powiedział zupełnie serjo: „od dzisiaj rozumiem, — jakie szaleństwo może popełnić mężczyzna dla kobiety o nawpół rozchylonych ustach i zmiennych oczach, które nikogo nie widzą”.

Zielone — liljowe — żółte światła reflektorów — wprowadzały bawiących się do zaczarowanego koła baśni.

* * *

Andrzej się nie zbliżał.

Właściwie raz tylko, aby się upewnić co do kolacji.

— Jestem już przoszona. Mam dwóch sąsiadów, — szepnęła dziewczyna wolno, nie patrząc mu w oczy.

— Ależ panno Majo.. jeszcze wczoraj..

— Nic nie wiem.

Odszedł.

A właśnie chciała mu coś wytłumaczyć, coś powiedzieć...

Andrzej został mianowany starszym pomocnikiem młodego wodzireja. Wykrzykiwał na całą salę komendę po francusku, połykając rr. Przyciskał mocno do fraka najbardziej obnażone mężatki. Najczęściej wirował z aksamitną, niby rozłupane wnętrze granatu, różą, na blado liljowej szacie.

Gdy się mijali z Mają — udawali, że się nie znają.

* * *

— Za pół godziny wracamy. Trzeba umieć odejść w pełni powodzenia. Zapamiętaj to sobie, od dziś... Jestem zadowolona: cudzoziemcy dopytywali się o ciebie. Możesz przetańczyć jeszcze z panem X. Jest właścicielem cukrowni w okolicach Białej Cerkwi. Jutro powtórzysz mi, co ci mówił, — wolno cędziła Matka.

— Nic nie pamiętam Mamo, co mówił mi ten długi cukrownik.

— Przypomnisz sobie. Cieszę się, żeś się poróżniła z tym młokosem.

— O Boże! o Boże! o Boże!

W małych uszach dziewczyny coś kwiliło żałośnie.

Zaczęła śpiesznie przesuwając się przez salony. W największym wciąż jeszcze tańczono. „Dziś! - dziś! - dziś!”, — upierał się przy jednym słówku, tupiąc siarczysto na jednym miejscu wodzirej.

W białym saloniku matrony podniecały się bridge'em.

W zielonym pokoju panowie, jak czarne żuki na zielonej murawie, skupili się przy stolikach gry.

— Oto moja królewna! — prezentował kolegom córkę, rozkochany Puś. Pocałował ją wobec wszystkich trzy razy w lewą rączkę.

W buduarze, wypełnionym błękitną mgłą, było najrojoniej. Pito spieczonami usty lemonjadę, pończe, mazagrany. Chciwie rozrywano uperfumowanymi palcami wnętrza soczystych jawskich pomarańcz, lub wyciskano do wazek fioletowy sok z krymskich jagód winogrodu. Najśliczniejsza pani Róża i boski wodzirej, w zamszowej kamizelce, schyleni nad wachlarzem, spiskowali nad czemś zawzięcie.

Andrzeja nigdzie nie było.

W głowie huczało. W uszach najwyraźniej dzwoniły dzwoneczki na alarm: prędzej, prędzej, prędzej. Dziewczyna powoli szła jakimś schodami coraz wyżej, wyżej.

Muzyka grała wciąż modnego walczyka: „Songe d'Automne”. Andrzeja nigdzie nie było.

* * *

Nagle dostrzegła.

Stał w otwartym oknie, na schodach i wpatrywał się w białą skrzyczącą się noc.

Dziewczyna przystanęła tuż za nim. Uśmiechnęła się i naraz uczuła przykry zawrót głowy — aż do ostrego klucia w skroniach.

— Boli mię głowa... bardzo. Czy mogę prosić o proszek, — szepnęła cichutko i bezradnie. Chłopak odwrócił się. Spojrzał stalowemi oczyma. W oczach tych załśniło zdumienie, zamigotały iskierki obrażonej dumy.

— Skłonił się. Proszę, — wyszeptał. Zaczęli wolno wstępować po schodach. Ona nieco naprzód, stawiając uważnie drżące nóżki. Milczeli. Milczeli i w długim korytarzu z szeregiem pozamykanych drzwi.

— Proszę — powtórzył ciszej, uchylając jedne. W pokoju było zupełnie szaro. Poważnie zadumane stały szafy, wypełnione kolorowymi książkami. W ciszy drzemały sędziwe fotele. Do jednego głębokiego wsunęła się Maja.

Chłopak otwierał drzwiczki bocznej szafki. Po chwili szedł wolno przez pokój. Na otwartej dłoni niósł proszek. Powieki miał opuszczone, usta zaciśnięte mocno.

— Uklęknij tu — powiedziała panienska niespodzianie.

Zachnął się. Z dłońmi, założonemi na poręczach fotelu, siedziała, jak mała, grzeczną dziewczynką.

— Uklęknij, Andrzeju, — powtórzyła, zaledwie poruszając wargami.

— Ale po co? — próbował się bronić, — po co?

Westchnęła. Opuściła ruchem zniechęcenia różowe łodygi rąk i spłótła je na kolanach.

Ukląkł więc. Tuż koło fotelu. Przysunął się. Ujrzała gładkie, połyskujące, niby dojrzałe kasztany włosy chłopca. Spojrzeli na siebie tak zblizka, jak jeszcze nigdy dotąd. Oboje poczerwienieli gwałtownie.

— Ale dlaczego?... dlaczego tak dzisiaj Majo?... szeptał bezładnie.

Dziewczyna ujrzała naraz wyraźnie wytworną sypialnię księżnej Heleny Muti i ją samą, piękną księżną z obandażowaną, zbolałą głową. A obok, kłęczącego, wzruszonego Andrzeja, hrabiego Sperreli.

Tak samo...

Maja uśmiechnęła się rozkosznie. Dotknęła lekko czubkami palców błyszczących, koloru dojrzałych kasztanów, włosów rowieśnika i wymówiła, przewlekając umyślnie każde słowo:

— Jak ty mi się podobasz... Jakiś ty młody! jak ty mi się bardzo podobasz! Chłopak się zachłysnął. Olśniony, a nieprzytomny, wyciągnął bez namysłu ramiona. Usta swe wyrysowane zadziwiająco, nabiegłe krwią, pachnące młodością, zbliżał powoli...

Lecz dziewczyna krzyknęła naraz ostro i przytomnie: nie! nie!

Odchyliła głowę na poduszkę fotela.

— Czemu... ale czemu... Majo? — pytał bezładnie, rozpalonemi dłońmi, dotykając na biodrach powiewnej sukienki dziewczyny.

Odsuwała go niecierpliwie.

— Nie tu... nie teraz... Nie...

Więc gdzie... kiedy? kiedy? pytał najgłupiej.

Odchyliła się zupełnie. Pośpiesznie przelknęła ślinę.

— W karecie, — powiedziała do bitnie.

— W karecie — wybelkotał powstając z kolan. Dotknął dłońmi zupełnie nieprzytomnej swej głowy.

— Dłaczego... w jakiej karecie?

Dziewczyna powstała. Wzruszyła ramionkami.

— „W zwyczajnej karecie... i tylko — na spacerze“!

Spojrzeni na siebie po raz wtóry, tak jak nigdy dotąd.

Ruszyła prędko w stronę drzwi. Chłopak wołał za nią.

— Zaczekaj — posłuchaj, Majol Majol! Jutro Mamę odwiezę na kurjer wieczorowy... Namówię, wyproszę raz jeszcze, aby tu do doktora... odwiezę karetą... reszta — Przy-

stanęła na progu. Uśmiechnęła się do myśli swych.

— „W karecie, chciałabym mieć rdzawe, szatańskie orchideje, lecz mogą być... tuberozy!“ — Rozkazała i znikła.

Chłopan usiadł ciężko. „Kogucik“ nietknięty leżał na podłodze.

— Za dużo wypilem — szepnął Andrzej, pogrążony zupełnie — Za dużo wypilem... i Maja też!

(c. d. n)

STANISŁAW WYSPIAŃSKI

(słów parę z powodu wystawienia „Achilleidy“).

„Wędrowka przez coraz to inne światy jest wędrowką za zdobyciem własnej duszy. Szczęśliwy kto ją zdobędzie, choć wszystkim się zdaje, że ją posiadają od urodzenia“, mówi Antoni Potocki w swoim studjum o Wyspiańskim.

Taką wędrowką jest twórczość Wyspiańskiego. Gnany potężnym nakazem wewnętrznym stworzenia swego własnego świata, „na obraz i podobieństwo swoje“, sięgnął Stanisław Wyspiański do dwu niewyczerpanych krynic wiecznego piękna: do świata ludowego i świata antycznego. Pierwszy wywarł niezatarty wpływ na malarstwo i kształtowanie się języka podwawelskiego wieszca. Język jego młodzieńczych utworów jest bezwzględnie piękny („Protesilas i Laodamia“, „Legenda“, „Meleager“), ale dopiero w „Kłątwie“, która, aczkolwiek z ducha i budowy czysto grecka, jest jednak i tragedją nawskroś chłopską — nabiera język Wyspiańskiego swej cudownej mocy i tężyzny, jaką rzadko który pisarz polski poszczycić się może. W przeciwieństwie do innych autorów nie posługuje się Wyspiański żadną gwarą, ani narzeczem. Jego język jest językiem chłop polskiego nie naśladowanym, ale przetworzonym w myśl i potrzeby ducha i intelektu współczesnego. Jak słusznie zaznacza cytowany powyżej Antoni Potocki „Wyspiański ujął w frazes muzyczny tok codziennej mowy chłopskiej.“ Rytm jego wiersza jest samoistny, ściśle związany ze składnią, składnia zaś dziwnie bliska ludowej.

Drugim źródłem natchnienia dla Wyspiańskiego był świat antyczny. Świat ten pojmował on inaczej od innych poetów: nie chodziło mu nigdy o wskrzeszenie, ani przypomnienie mytu lub legendy. Wyspiański przetwarzał je w myśl zagadnień nurtujących jego duszę. Materiałem posługiwał się swobodnie. Daleki od trzymania się praw-

dy archeologicznej współczesnia i spalszcza zarówno postacie bohaterów, jak i tematy. Tak np. Wawel utożsamia z Troją, a w swoich ilustracjach do „Iliady“ ubiera greków w pasy krakowskie. Jego charakterystyki bohaterów antycznych niezawsze zgodne są z tradycją. Występuje to jaskrawie zwłaszcza w „Achilleidzie“, która dopiero teraz ujrzała deski sceniczne. W interpretacji Wyspiańskiego Helena jest nie tylko piękną kobietą, ale uosobieniem Żądzy Miłosnej, Afrodytą. Achilles ze zdrowego homerowskiego młodzieńca przekształca się w bohatera, który poznał najwyższą prawdę ludzkiego istnienia: śmierć w jego pojęciu nie jest unicestwieniem życia, ale bramą, wiodącą w inny, lepszy świat: w świat Ducha.

Dla lepszego zrozumienia stosunku Wyspiańskiego do antyczności przytaczam treść mytu Trojańskiego.

Parys, syn króla Trojańskiego, Priama, porwał królowi Mykeńskiemu, Menelaosowi żonę, Helenę. Obrażony Menelaos organizuje wyprawę na Troję. Biorą w niej udział brat jego Agamemnon, podstępny awanturnik Odys (według nowszych badań „Wielki Wtajemniczony“) oraz Achilles, o którym podanie głosi, że bez niego Troja nie może być zdobyta. Oblężenie trwa lata całe. Grecy skracają sobie czas robieniem łupieskich najazdów. Z jednej z takich wypraw Agamemnon przywozi sobie brankę Chryzejdę, Achilles — Hipodamję. Chryzejda była poświęcona Apollinowi. Rozgniewany Bóg zsyła na greków zarazę. Grecy postanawiają oddać Chryzejdę. Agamemnon godzi się pod warunkiem, że wzamian otrzyma kochankę Achillesa. Achilles oddaje Hipodamję, ale mszcząc się za zniewagę wstrzymuje się od walki, przez co Trojanie zyskują przewagę. Achilles zaniepokojony ich zwycięstwem ubiera w zbroję swoją Patroklosa — na postrach wrogom — który ginie z rąk Hektora; Hektor

zaś pada ofiarą zemsty Achillesa. W nocy do namiotu wodza greckiego przychodzi sędziwy Priam, któremu Achilles oddaje zwłoki syna.

Tyle Homer.

Wyspiański materiałem tym posługuje się bardzo dowolnie. Wprowadza wiele nowych fragmentów, zaczerpniętych u innych pisarzy (Achilles ginie nie od strzały Parysa, ale rzuca się pod wóz), zmienia kolejność faktów (synowie Laokona giną u Homera za to, że sprzeciwiają się wprowadzeniu Posejdonowego rumaka, u Wyspiańskiego Laokon oddawna płacze synów), wlewa w nie sens psychologiczny. „Achilleida“ nie jest ściśle mówiąc dramatem poszczególnych bohaterów. Bohaterami są dwa narody, Grecy i Trojanie. To też czyny Achillesa i Hektora, zdrada Odysa i mactwa Tersytosa błędną wobec błędnego koła Życia i Śmierci, w które wplątani są ludzie, społeczeństwa, narody... Rozumieją to, a raczej przeczuwają — tylko Hektor i Achilles. Obaj zżymają się na myśl, że bronią haniebnej sprawy i haniebnych ludzi. Hektor widzi w tem krzywdę wyrządzoną umiłowanej bogini Herze (obrona Heleny jest obroną Afrodyty), Achillesowi sumienie nie pozwala dłużej bronić łupieżców. Tragizm ich losu polega na tem, że właśnie oni są uosobieniem bohaterstwa obu narodów: ich walka przechyli szalę zwycięstwa. Dla pogłębienia tego tragizmu z rąk Hektora ginie jedyny przyjaciel Achillesa, Patroklos, z rąk zaś Achillesa — sam Hektor. Śmierć przyjaciela i wroga, w którym uwielbiał Bohatera i Człowieka, w którym czuł bratnią duszę, budzi w Achillesie pragnienie śmierci. Zrzuci ziemską powłokę, by znalazłszy Prawdę — złąć się z Bogiem.

To uczyłowieczenie, czy jak chcą niektórzy: ureligijnienie Homera stanowi głębię i piękno „Achilleidy“.

Z. P.

Z O F J A R. N A Ł K O W S K A

3

JEJ TRZY KSIĄŻKI OSTATNIE. JEJ TYPY KOBIECE

W zbiorze nowel swoich „Małżeństwo” wróciła Nałkowska do świata, w którym obraca się najswobodniej i—kto wie?—może czuje najlepiej. Świata wyrafinowanej kultury przeżyć, przemyśleń, mózgowej erotyki, mózgowych refleksyj o życiu i — przesianych przez filtr cerebralny porywów, zachceń, upodobień. Świata raczej marzeń o zjawie realnej, aniżeli rozkołysania się w niej samej, zanurzenia w żywiołowym jej tętnie. Wróciła do świata literatury i sztuki, do ciągłej, w każdej porze, myśli o nim. Do świata przyrody, który jest jak najcudniejszy sen o przyrodzie.

Kobiety patrzają tu powoli i mają powieki błękitne i niepokojący spokój rysów i ruchem głaszczą powietrze. Wytworne, o długich palcach i paznogiach podobnych do ślicznych, różowych chrząszczy, albo do skrzydeł małych, lśniących owadów, o twarzach kremowych i drżących rzęsach, — chłodne są, poprawne i obce. — Obce, jak Teresa Hennert, która nie rozumiała szarów miłosnych, spotkawszy człowieka, w którym bezwzględnie poruszyła jakieś głębie namiętności — pełna była lęku, zdziwienia, przerażenia, stała się w jego rękach, jak przedmiot bezduszny, dająca sobą powodować, ale w niczem nie biorąca udziału. Była nazewnątrż własnej rozkoszy, nigdy nie zapominająca się zupełnie, nigdy własna, nigdy pewna.

Kobiety w „Małżeństwie” są prawie wszystkie, jak rozmarzone odaliski. Ktoś pyta jedną z nich:

- Czy lubi pani kwiaty?
- Nie. Lubię myśleć o kwiatkach.
- Czy lubi pani pocałunki?
- Nie. Lubię tęsknić za pocałunkami.
- Czy lubi pani kochać?
- Nie. Lubię patrzeć, jak mnie ktoś kocha.

Takby odpowiedziała pewnie każda. I dlatego rzadko daje im imiona Nałkowska, bo to wyodrębnia.

Prawie wszystkie kochają innych—nie mężów. Prawie wszyscy mężowie zdradzają żony, choć je kochają.

W godzinie agonii bezimienna żona wyznaje nienazwanemu mężowi—w synkopach niedomówień, w urywanych półsłowach, że wie o nim i że ona też...

„Och, bo jest w ogrodzie ciemnoróżowy domek dawnej struktury, białe koronki małych baszt, zabawne, ostrołukowe okienka... Sa-

ma myśl o tem jest jak szal... że między temi drzewami...”

Tak. I czytelnik i mąż wiedzą już wszystko.

Jeżeli nie odchodzi z kochankiem inna bezimienna od znienawidzonego męża, którego chore od lat ciało rozdęte, opuchłe, zarazą ziejące, budzi w niej wstręt, — to nie przez poświęcenie, ani przez dobroć i litość, ale „przez jakąś dziką słodycz uśmiechania się z rozpaczy, przez rozkosz, przerażającą wywarciem na sobie samej aktu okrucieństwa”.

Nawet cnota wyrzeźbia się tu pracowicie w złogach intelektu.

Jakżeż by mogła zresztą w odmęt niewiadomego jutra rzucić się ta, która dla siebie samej stanowi jedną wielką niezgłębioną zagadkę?

„Ciało moje jest jakąś tajemnicą przerażającą, większą, niż życie i śmierć”. Czasami wsłuchują się z drżeniem w tajemne dzieje siebie, w to państwo straszliwe, istniejące niżej poziomu swojej wiedzy.

Odaliskom, odszakującym w pewnych liniach od typu ogólnego, nadaje Nałkowska imiona. Tak n.p. „Katarzyna” z niesympatycznej noweli „Dzień ten”, która—nie rozumie, jak mogła zbłąkać się pod pióro tak wykwinne. Chyba, że i tym razem „zadała” sobie autorka techniczną trudność do przez wyciężenia, postanawiając dać tło artystyczne naobrzydliwszym chwilom w życiu kobiety. Może i dopięła zadania. Może nikt nie umiałby pisać tak o tem. W każdym razie lepiej było przejść nad tą sprawą do porządku dziennego.

Pani Katarzyna w „Dniu tym” rozmyśla, ile potomstwa mogłaby dać światu, a ile ginie z woli odwiecznych praw natury. Dla psychologicznego umotywowania tych refleksyj przedstawiona jest jako pełna owej „wiekuistej, niezgłędzonej jeszcze przez myśl i kulturę kobiecości, zabranej kiedyś kwiatom, zwierzętom i żywiołom”.

Ciało miała białe jak mleko, oczy w grubych powiekach i włosy nakształt grzywy—śliczna samica, piękniejsza od samicy łabędzia, od żmii, od czarnej pantery.

Pożera ją żądza macierzyństwa. Ale i ona intelektualizuje swoje porywy. Myśli:

„Czemu tak tajemnie dzika jest natura, że w marzeniu i tęsknocie pragnąć każde tego, co jest przeciwieństwem cierpieniem, co rzuca w tortu-

rze i przerażeniu na niski, czarny brzeg śmierci?..

„Kobieta, z bytu swego emanująca nowe byty, jest jak most ponad przepaścią, kładący się między życiem a śmiercią”.

Typ wyjątkowo—doszczętnie zepsutej kobiety — Lili z „Porachunków” — jest, jak wysniony obraz Danta Rosettiego. Postać ma drobna, oczy dziecinne, jasne, prerafacilycznie wąły owal bladej twarzy, a usta nad miarę pełne. Profil jak gemma. Głos trochę roz-wlekły. Gnie się całą postacią. Głupia, lecz mąż bierze ją na serio i jest zakochany, szczęśliwy, choć zdeptał inne uczucie—proste, a głębokie kobiety silnej duchowo, która mści się na nim. Mści, może nie za to, że ją rzucił, jak tyle innych, ale — że przez niego popełniła zbrodnię.

Z półsłówek i długich fermał, niedomówień i tragicznych spojrzeń, z pytań urywanych w połowie i z aury cierpienia, która bije od tej bardzo samotnej w rozgwarze dobrych znajomych istoty — należy przypuszczać, że zabiła płód w swoim łonie i to stało się klątwą jej życia. Pokutą za ten czyn rozpaczy może być tylko śmierć. Śmierć z nim razem, demonem jej losu — mężem wyrafinowanej kokietki Lili, zakochanym w niej, szczęśliwym, niepomyślnym przeszłości.

Gdy całe rozbawione towarzystwo jest w dole—nad zlodowaciałą taflą jeziora—ona wsiada z Rysztańskim w saneczki, spuszcza się ze stromego zbocza.

Jedno złe posunięcie, a runą w przepaść lodową oboje.

Więc nieznanie z głęboką premedytacją — nastawia saneczki. Chwila — skończy się cierpienie.

W galerji kobiet Nałkowskiej ta jedna jest, jak Brunhilda.

Imię jej — Teresa.

Ma inną, także silna w ruchach, pewna siebie, zrównoważona życiowo pani Marja o ciemnych, mądrych oczach i rysach prawidłowych, szlachetnych. Była studentka. Ale — czy życie studentek takie, jak je przedstawia, dałoby nam znakomite uczone, doskonałe doktorki, profesorki, prawniczki?

Mówi o tych czasach: „Owe zetknięcia, ocierania się nieustanne—niby nad preparatem, niby z powodu książki, niby w najniewinniejszej intencji, a przecież zawsze. W chmurach papierosowego dymu pulsowanie wciąż obecnej, nienasyconej, niewygasłej zmysłowości”.

Czy warto byłoby—idąc za takimi wskazówkami—popierać równouprawnienie kobiet w dziedzinie nauki?...

Przeszła, jakieś szaly studenckie, jakiś niedomówiony tragizm, silna i pewna siebie pani Marja. Ale ostatecznie skończyła studia, żeby—poślubić kolegę swego, sensata Michała, który został profesorem. Miał przed ślubem i po ślubie parę romanсів, ale—dla równowagi życia trzeba było patrzeć na to przez szpary. Pani Marja stała się solidną żoną, dobrą matką.

Zdobyła wielką pogodę wewnętrzną. Zarzuciła pracę naukową, o ile nie trzeba było czasami pomódz mężowi. „Zasadniczą sprawą człowieka jest, aby odnalazł siebie“. Ona odnalazła siebie w braniu życia, jakie jest—bez egzaltacji, bez „historji tragizmów“. Uznając dobroć jako „pewną formę samoobrony przeciw temu, co życie przynosi“,—jako złagodzenie szoków i wstrząśnień—coś w rodzaju „waty“ wewnętrznej. Jest dobra. Przebaczyła mężowi i jego kochankom. Stara się przekonać rodzinę profesora, która była przeciwna małżeństwu z dawną studentką, że dyplom uniwersytecki nie przeszkadza w sprawowaniu rządów wzorowej gospodyni. „Zawsze pogodna, wnosi w dom swój jasność, spokój, ład, oparty na mocnych, i trwałych przesłankach bytu“.

Ale — jakieś słowo przyciszone, jakaś fermata, jakiś skurcz warg ironiczny każe nagle pomyśleć, czy to nie jest maska dla oszukania siebie samej i ludzi blizkich, dalszych, najdalszych?

Są jeszcze inne motywy w tym tonie nawet Nałkowskiej. Jest paradoks natury — zniechęcenie dziecka przesłicznego, ale z człowiekiem niekochanym, zaś namiętne do szału ukochanie małego krzywonogiego rachityka, o dużej chwiejącej się niedołężnie głowie, o bladej twarzy ze strunami skrofulozy dokoła ust i uszów. Wpijała się w usta tego potworka wytworna pani, zadumana miłośnica — jedna z tych odalisek — Sulamitek, które są, jak drzewa, lub kwiaty, wyłobione w powietrzu.

Nad tą ostatnią książką Nałkowskiej, jak zresztą nad wszystkimi innymi — unosi się jakiś cichy uśmiech sceptyczny, jakaś mgła ironji, zamaskowana pogarda życia nawet w chwilach ważnych, wielkich.

Człowiek bezmienny idzie na wojnę. Ofiara w imię wyzwolenia Polski. Ale „nie to ważne jest w czynie, jakie mieć będzie skutki. Jeżynie czyn jest chciany. Skutki mogą być zaledwie—marzone“.

Żona mówi: „Jedziesz tam bez wiary“.

Mąż: „jadę, aby przestawiać źródło światła, w którym oglądam siebie i świat“.

Jakieś wspomnienia, jakieś wyznania w chwili rozłąki.

— Wstyd mi to mówić. Ale dziś widzę, że ciebie jednego kochałam.

A on—widząc jej twarz niejasno, odlegle—niby przez szybę ruchomej wody — „Ja byłbym wolał nawet, żebyś nie była mówiła“.

— Przepraszam — rzekła, powstając.

Krótkie chłodne pożegnanie dwojga ludzi, nad którymi zaciążyła zdrada, czy podejrzenie zdrady — jej zdrady. Dumie męskiej zdawało się, że odnosi jakieś nad siły zwycięstwo.

Odszedł, rzucił się w bój bez wiary, bez namiętnego porywu — pewnie, żeby zdusić w sobie głuchy ból.

Więc — czy w paradoksy życia można patrzeć bez sceptycznego uśmiechu?

Mężczyźni w nowelach Nałkowskiej przesuwają się, jak cienie. Koniecznie potrzebni, bo jakżeby bez nich były huryski? Ale prawie nie indywidualni.

Lekko i przeważnie zewnętrznie tylko podmalowują je autorka. „Postać wysmukła, brwi rozpostarte szeroko nad zimną tajemnicą oczów“.

Wielki uwodziciel, mąż kokoty o prerafaelitycznym typie Rysztański, ma „błękitne cienie na górnej wardze i szczękach—piętno wyrafowania i demonizmu“. Zresztą — cynik i tępy duchem. Takimi są zawsze zdobywcy serc kobiecych.

Niekiedy umieją wytwarzać nastroj, albo pozwalają się osnuć pajęczą siecią melancholji kochanek. Niekiedy filozofują.

Cudzoziemiec z precudnego drobiazgu „Niedoszły mezaljans“ mówi: „Powietrze jest negatywem każdej ziemskiej urody. Zewnętrzny kształt wszystkich przedmiotów jest jego wewnętrznym kształtem“. I w misternym dialogu tego kunsztownego arcydzieła formy, tego filigranu stylu i myśli rozsnują się najsubtelniejsza sieć opalowej złudy, która dżdżem półtonów płynie z ust do ust. Aż ginie w pytaniu kobiety.]



— Może jest dusza moja tylko legendą o mnie, kłamaniem, pustem, zagmatwanem o mnie podaniem.

Motto do książki „Małżeństwo“, najwyraźniej uwydatnia założenia i nastrój zbioru nowel. Wzięte jest z własnego utworu Nałkowskiej „Śpiew Kobiet“.

„Jesteśmy niewolnice tajemnic. Wzięły nas w swoje panowanie straszliwe ciemności naszego ciała.“

„Jesteśmy kwitnące gałęzie, zakrywające przepaść. Jesteśmy zryby wód ponad przestrzenią świata, mgły pachnące ponad nicością.“

„Niech będzie pozdrowiona śliczna siostra nasza, natura“.

Ale dodaćby trzeba: „nie w bezpośrednim ujęciu“. Omgłona haszyszem nastrojów, które są: jak perłowy tuman nad prawdą żywiołu.

C. Walewska.

Ś. P.

ANTONINA OPIELIŃSKA

Piękna to była postać kobieca. Pozbawiona zupełnie małostek, płci naszej częstokroć właściwych, jasnym umysłem ogarniająca szerokie horyzonty, a umiejąca zachować do grobu wierność swojej jedynej miłości i to w podwójnym tego słowa znaczeniu.

Miłości do przedwcześnie zgasłego męża i ukochania idei, wspólnej im obojgu: nieustannej służby dla ojczyzny.

Gdzie tylko usiłowano zapobiegać ludzkiej niedoli, tak rozpanoszonej w czasach powojennych, gdzie tylko radzono nad uszlachetnieniem polskiego życia, nad podniesieniem jego ogólnego moralnego poziomu, tam Antonina Opiełińska przychodziła z twórczą i czynną pomocą. Dawała inicjatywę, zagrzewała do wytrwania wobec piętrzących się wszędzie trudności, jednała nowych pracowników.

Widzę ją z pogodnym, jasnym czołem, koroną obfitych blond włosów uwińconem, z wysoką smukłą postacią i z rysami, jakby skoncentrowanymi w jednej, upartej myśli.

A przytem, taką nawskroś kobiecą, skromną i cichą. I tak mi żal, że już jej niema wśród nas, jej tak młodej, zdolnej jeszcze wielkich rzeczy dokonać, z tą niewyczerpaną energią, z tą niesłabnącą nigdy ofiarnością swojej pracy i trudu.

A życie jej nie płynęło po rózkach, wypadło bowiem na chwile ciężkie i trudne. Odradzająca się Polska stała się widownią klęsk i zmagañ wewnętrznych i gorące

jej serce kobiece bolało nad każdym załamaniem się linii ideowej, którą wypieściła w duszy, a którą w testamencie niejako przejęła od tragicznie zgasłego przedwcześnie męża.

Opieliński Zdanowicz zgasł w chwili triumfu, jaki odnosiła nad wrogiem, tworząca się wówczas armja polska, gdy rozbrajała i wypędzała z kraju niemieckich okupantów.

Młoda wdowa stanęła uzbrojona do walki życiowej. Skończywszy wydział prawny na uniwersytecie, zdobyła gruntowną podstawę do swej umiłowanej działalności społecznej.

Trzeba było jednak szukać także i pracy zarobkowej.

Pomimo rzekomo zupełnego równouprawnienia kobiet w Polsce, pomimo, że posługują w Sejmie i zasiadają w Senacie, w zakrzewionych przesądach i w dawnym obyczaju tkwi pewien odpór przeciwko obejmowaniu przez kobiety wszystkich tych stanowisk, które przez swoje władanie zagarnęli mężczyźni. Dotyczy to w szczególności katedr profesorskich i sądownictwa.

W adwokaturze pozwolono na nieliczne dotychczas wyjątki.

Antonina Opielińska, chcąc wykorzystać swoją wiedzę prawną, musiała się zadowolnić skromną posadą urzędniczką w Ministerstwie Sprawiedliwości. Ale obca tej mechanicznej pracy, optymistyczna i pogodna, jak zawsze, ulegała złudzeniu, że jest jednym z ogniw w potężnej budowie podstaw prawnych dla wskrzeszonego państwa, że bierze udział w tworzeniu praw równych dla wszystkich i sprawiedliwych. Złudzenie to niedługo trwało, uznano ją za zwykłego pionka w machinie administracyjnej i przy pierwszej zmianie rządu, zredukowano.

Trzeba było szukać innego rodzaju pracy, i znalazła się ona wreszcie w Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej.

Tu nasza entuzjastka zetknęła się po raz pierwszy z zagadnieniem pracy i płacy, zbliżyła się bezpośrednio do różnicy i objawów nędzy ludzkiej, znalazła pole do rozwinięcia swoich dążeń altruistycznych.

Gruntowny jej sąd w każdej sprawie, zdolność do rozwikłania trudnych problemów, bystrą a wrażliwą intuicją kobiecą, czynią ją nieocenioną na tem nowem stanowisku. Okowy niestałego biurokratyzmu pękają, a akcja pośrednicząca w sprawach zatargów społecznych staje się współczującą i żywą. Spełniając jednak swoje zadania

w Ministerstwie, Opielińska nie opuszcza ani na chwilę z oczu, nie wyrzuca z serca, swoich umiłowañ.

Brała czynny udział w formowaniu się wojska polskiego, lgnęła całą duszą do kobiecych instytucyj ratowniczych, więc i dziś, w czasie pokoju, opuścić ich nie może. A właśnie czynna i zasłużona Liga Kobiet znajduje się w stadium upadku i rozproszeniu, a zadania jej nie są jeszcze skończone. Schroniska, dla sierot po bojownikach wolności, potrzebują opieki i pomocy, coraz bardziej malejące składki nie mogą jej zaspokoić. Jedne członkinie Ligi się usunęły; inne, wraz z życiem, skończyły już swoją służbę.

Więc te, co pozostały, potrzebują siły młodej i energicznej, któraby swoim zapałem w pracy podniosła instytucję, pozwoliła jej wywiązać się z podjętych zadań. I ofiarowują Opielińskiej stanowisko przewodniczącej Ligi, połączone z nadludzkim nieraz trudem.

Trzeba bowiem wyżywić dzieci, umieszczone w trzech schroniskach, a na to niema żadnych funduszków.

Dzielna kobieta przyjmuje zaszczyt, a wraz z nim i ciężkie obowiązki.

Zbiera składki, do czego jej niezwykły urok jest wydatną pomocą, w potrzebie żebrze nawet, oddaje wreszcie swą skromną pensję urzędniczką. Ale dzieci jednego dnia nie są głodne

Kto ją teraz zastąpi?

W tych trudach i szarpaniu się z przeciwnościami uchodzi życie, jak krew z ciągle otwartej rany, zbliża się koniec i ta, co ze wszystkich sił swoich służyła dobrej sprawie, zamyka na zawsze oczy. Nie ujrzy już ziszczenia swoich ideałów w ukochanej ojczyźnie.

Czy nie ziszczą się kiedy? Tak szaro i zimno na rozłogach naszej ziemi, tyle w niej zła, taki zanik gorących uczuć i entuzjazmu, który przenikał tych, co o Polskę wolną walczyli i odeszli w cień śmierci.

* * *

Że jednak pamięć o nich nie zginęła, świadczyła Akademia żałobna poświęcona s. p. Opielińskiej.

Portret jej ze smętkiem na twarzy tonął w białych chryzantemach, a na estradzie kreślono kolejno epizody z jej szlachetnego życia. O miłości jej „mocniejszej nad śmierć“ mówiła dr. Budzińska-Tylicka, o jej zasługach dla sierot po żołnierzach, panie: Janiszewska i Wojnarowa. Czy duch jej był tam obecny? czy współczuł naszym umiłowaniom? czy wierzył, że one kiedyś uwieńczone triumfem staną?

J. W. K.

NIC WAŻNEGO

SPOJRZENIA

Czyż nie prawda, że spojrzenie jest minjaturą patrzącego człowieka, jest jego błyskawicznym skrótem? Bo oto idzie pan... Duże, omotane sukniami i skórą stworzenie, skomplikowana maszyna, naczynie pełne krwi, absurdów, cierpienia i siły... Żeby tę osobistość poznać metoda naukową i odpowiednio sklasyfikować — należałoby przedewszystkim wdziać fartuch operatora, chwycić lancet i zrobić wiwisekcję. Później pomylić się sto razy w określeniach, zrobić kilkadziesiąt preparatów, połowę z nich wyrzucić na strych, wreszcie — zakląć i napisać sonet.

Zdawałoby się zatem, że człowieka odcyfrować trudniej, niż przedhistoryczny nagrobek. Jednak — nie. Na szczęście wśród zwójów jedwabiu czy sukna świeci naga twarz. A w niej — spojrzenie. I już nam niepotrzebne: lancet, mikroskop, irytacja, ani sonet. Zamiast kłaść nieznanego pana na stole operacyjnym, zajrzyjmy od niechcenia w jego oczy. Wystarczy jedna sekunda — z mętnego piekielka, czy ze źródlanej szyby za rżesami obcego człowieka wyskoczy duszek, który rzuci słowo wymowne, jak błyskawica. W świetle tego słowa ujrzymy co najważniejsze.

Każdy przechodzień na ulicy niesie w żrenicach skroploną na gęsto swoją chwilę obecną, czyli najintensywniejszy kolor swojej duszy. Jaki stąd powstaje tumult żądań! Jaka płatanina trosk, jakie trzęsawisko zawstydzeń... Doprawdy czasami spojrzysz na kobietę i masz wrażenie, że stąpnałeś butem na piąstkę niemowlęcia, bowiem ta kobieta pełno miała w oczach swojego dziecka. Albo zerknij na ciebie mężczyzna i aż zadusi cię w gardle od zapachu nieznanych perfum; — tak właśnie pachną jego kobiety. Innym razem w spojrzeniu starszego jegomościa odczytasz najdokładniej końcowy ustęp artykułu, jaki ten pan właśnie napisał.

Jeżeli zakochana matka, zmysłowy pan, uczony pełen hipotez — spotykają w przelocie oczy muzyka, literata, czy też starej, łagodnej kobiety, ze spotkania nie wyniknie nic przykrego, najwyżej jakieś shimmy, feljeton, albo pacierz. Zrzadka trafia się rzecz taka, że dwie pary tęczywów, sunące nieświadomie naprzeciw z dwóch odległych krańców, rzucają się ku sobie, niczem czworo samotnych ramion i — po chwili, gdy ómdleje uścisk — tęsknią i szukają się wzajem po teatrach i cudzych pokojach. Najczęściej

wszakże spojrzenia są niewspółmierne. Każde krzyczy przed siebie, nie słuchając repliki. Kąkafonja jaka tą drogą wyrasta, porównać się może chyba tylko z kwartetem Kagan Golda. Co krok—dwa karambole. I nie ma na to rady, bo trudno przecież, żeby—gdziekolwiek stąpnie Małgorzata — wykwiłtał Faust z usłużnym ramieniem; nie wszędzie, gdzie Elza śpiewa do księżycy, na stopniach kościoła podsłuchuje Ortrud. Silvio jakże rzadko przybiega na ratunek Neddzie.

Dzień powszedni jest przedstawieniem bez reżysera, nieudaną komedią dell'arte, w której aktorzy nie rozumieją wzajemnie własnego języka i dlatego na impertynencje odpowiadają najśłodszy uśmiechem, a tupią nogami, gdy pod ich adresem szemrzą słówka, jak harfy.

Zatrzymuje się naprzykład samochód: wysiada pani... Widać od razu, że to jest uwielbiana Semiramis, która raczyła opuścić pałac, aby łaską obdarzyć niewolnika. Tenże niewolnik winien, ukryty w krzewach różanych, wyglądać z bijącym sercem, rychło li najmiłościwsza spłynie stopkami na jego pokoje. Tymczasem... zamiast niewolnika—wyskakuje na damę Józiek Cwajnos i, wyracając gały, daje do zrozumienia: „Pospolita Rzecz—Warszawianka!”

Z ministerjum wykracza konsul; oczywiście idzie z listem od Pinkertona do Madamy Butterfly. Delikatna misja... Czasu diabło mało, bo przed wieczorem ma jeszcze pocieszyć dwie Żydówki i jedną Afrykanke, ale czego się nie robi dla przyjaciół, oraz dyplomacji... Trzeba tylko, by Suzuki wybiegła odebrać cylinder i żeby w niektórych apartamentach na Pięknej rozślano maty. Jednak ledwie pan Konsul ułożył w głowie frazes powitalny po japońsku, rzuciły się nań — na rogu Wierzbowej — oczy drapieżne, które wyraźnie oświadczyły: „Fracja P.P.S. stanowczo w komisji i na plenum głosować będzie przeciw budżetowi”. Czyż to nie barbarzyński dysonans?

Albo: tkliwa Mimi, odebrawszy od Rudolfa „czepeczek swój różowy oraz książkę do modlenia” śpieszy, by na łonie Musette'y zgasnąć, jak gromnica. Nagle drogę jej zastępuje Rigoletto i czyni wzrokiem bolesny wyrzut: „To ty zamordowałaś Gildę”. Sekunda osłupienia — Mimi z Rigolettem odskakują od siebie zmieszani.

Sklepy, ulice, fabryki napelione są po brzegi gęstwiną spojrzeń. Świat cały jest opięty ich błyszczą-

cą siecią. Mrugają przed się, jak gwiazdy, czasem, jak ślepe szczenięta; akurat tyle w nich widać człowieka, ile trzeba, by móżdż go poznać bez lancetu, i znieść bez obrzydzenia.

Marja Kuncewiczowa.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU.



WIECZNIE ŚPIĄCE JAPONKI.

Jeden z najwybitniejszych współczesnych pisarzy japońskich, Kayabara Katzan, wyraził się kiedyś żartobliwie o swoich rodaczkach: „Japponka, o ile tylko nie pracuje, napewno śpi”. Na poparcie tego twierdzenia opisał następujący obrazek ze swego życia.

„Wybieram się w dłuższą podróż koleją. W przedziale, który zająłem, siedzą oprócz mnie jeszcze cztery niewiasty. Jedna z nich natychmiast po wejściu do wagonu zajmuje miejsce przy oknie, opiera głowę o poduszkę, i — zanim jeszcze pociąg zdążył opuścić stację — smacznie zasypia. Druga, ubrana krojem angielskiej „nurse”, trzyma na ręku dziecko w poduszce. Skoro tylko pociąg ruszył w drogę, widać było wyraźnie, jak pielęgniarka ta — siedząca naprzeciwko mnie — walczy z ogarniającą ją sennością. Wreszcie zasnęła tak głęboko, że omal nie upuściła na ziemię dziecka. Trzecia moja towarzysząca podróż, po wygodnym usadowieniu się w kącie przedziału, wydobyla z torebki zapasy podróżne i zaczęła się posilać. Jakież jednak było moje zdziwienie, gdy po kilku minutach, rzuciwszy okiem w jej stronę, ujrzałem, że śpi z niedojedzonym kawałkiem ciasta w ręku!

Czwarta niewiasta, była to starsza wieśniaczka, ubrana i uczesana według dawnej japońskiej tradycji. Ta bez najmniejszej ceremonji rozłożyła się wygodnie na ławce i chrapała tak głośno, że obawiałem się, aby nie przerwała snu tamtym trzem paniom!..”

Kayabara tak uzasadnia tę niezwykłą pochopność do snu u swoich rodaczek:

„Kobieta japońska — czyto uboga, czy zamożna — stale, chronicznie poprostu niedosypia. Stosuje się to w szczególności do kobiet zamężnych. Obyczaj narodowy nakazuje zamężnej japonsce wstawać jaknajwcześniej i przygotowywać mężowi

osobiście śniadanie. Wieczorem zaś oczekiwać jego powrotu do domu i położenia się. Tradycja ta jest tak silnie zakorzeniona, że żadna japonska — czyto ze sfery inteligentnej, czy robotniczej — nie położy się spać, zanim mąż jej nie uda się na spoczynek.

Stąd pochodzi to wieczne przemęczenie japonski i ich żądza snu, odziedziczona już przez cały szereg pokoleń”.

NOWY POMYSŁ UBEZPIECZENIOWY.

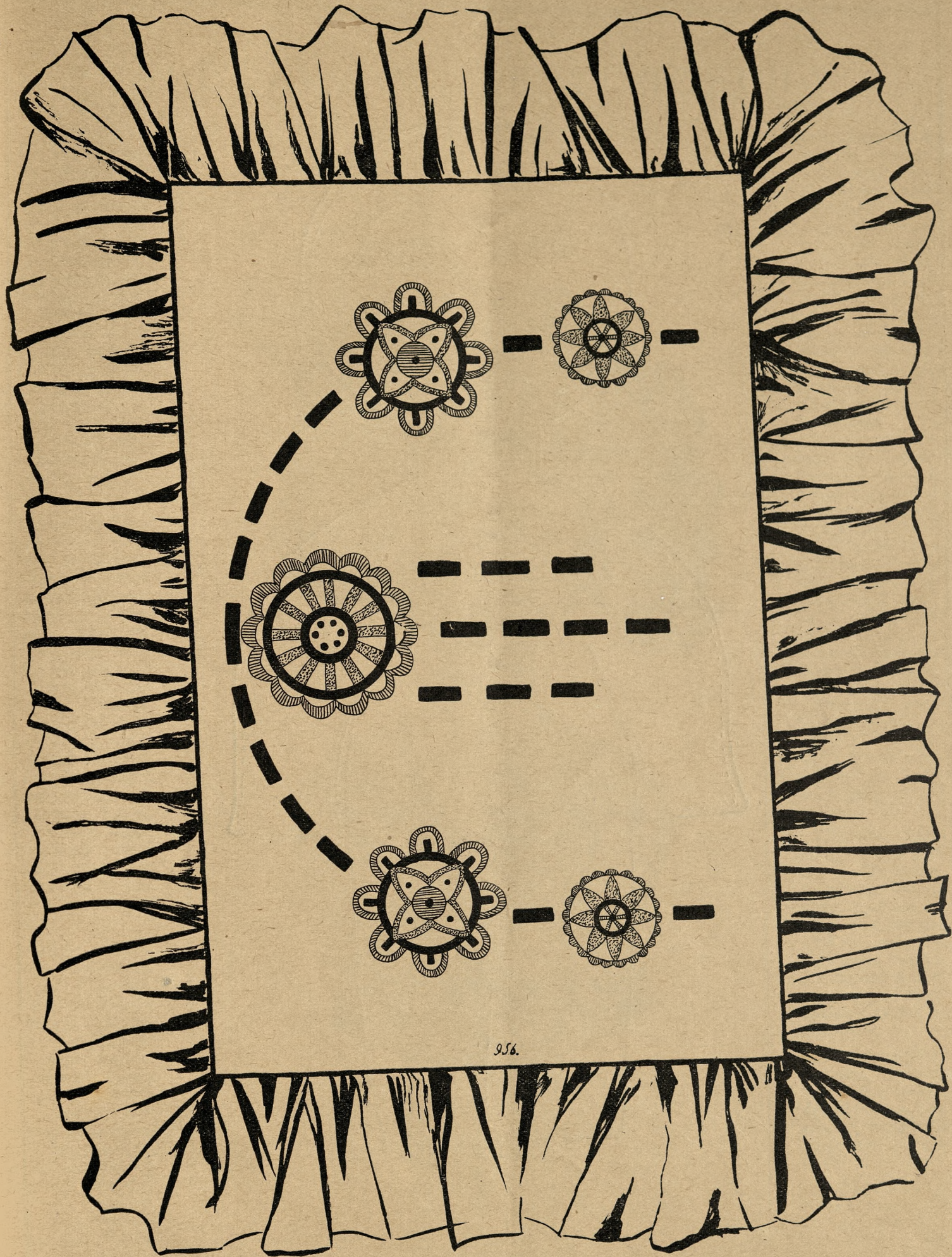
Amerykańskie towarzystwa ubezpieczeniowe prześcigają się nawzajem w pomysłach, zmierzających do pozyskiwania sobie drogą reklamy jaknajwięcej klientów. Ostatnim takim pomysłem jest ogłoszone niedawno przez jedną z większych firm asekuracyjnych — ubezpieczenie od staropanieństwa!

Klientki tej firmy otrzymują polisy asekuracyjne, gwarantujące im, po dośrobie do 40-go roku życia, wypłacenie znacznej sumy tytułem odszkodowania za nie wstąpienie w związku małżeński. Oczywiście im klientka jest piękniejsza i młodsza, tem chętniej jest ubezpieczona, gdyż firma ma większe szanse nie wypłacenia jej polisy.

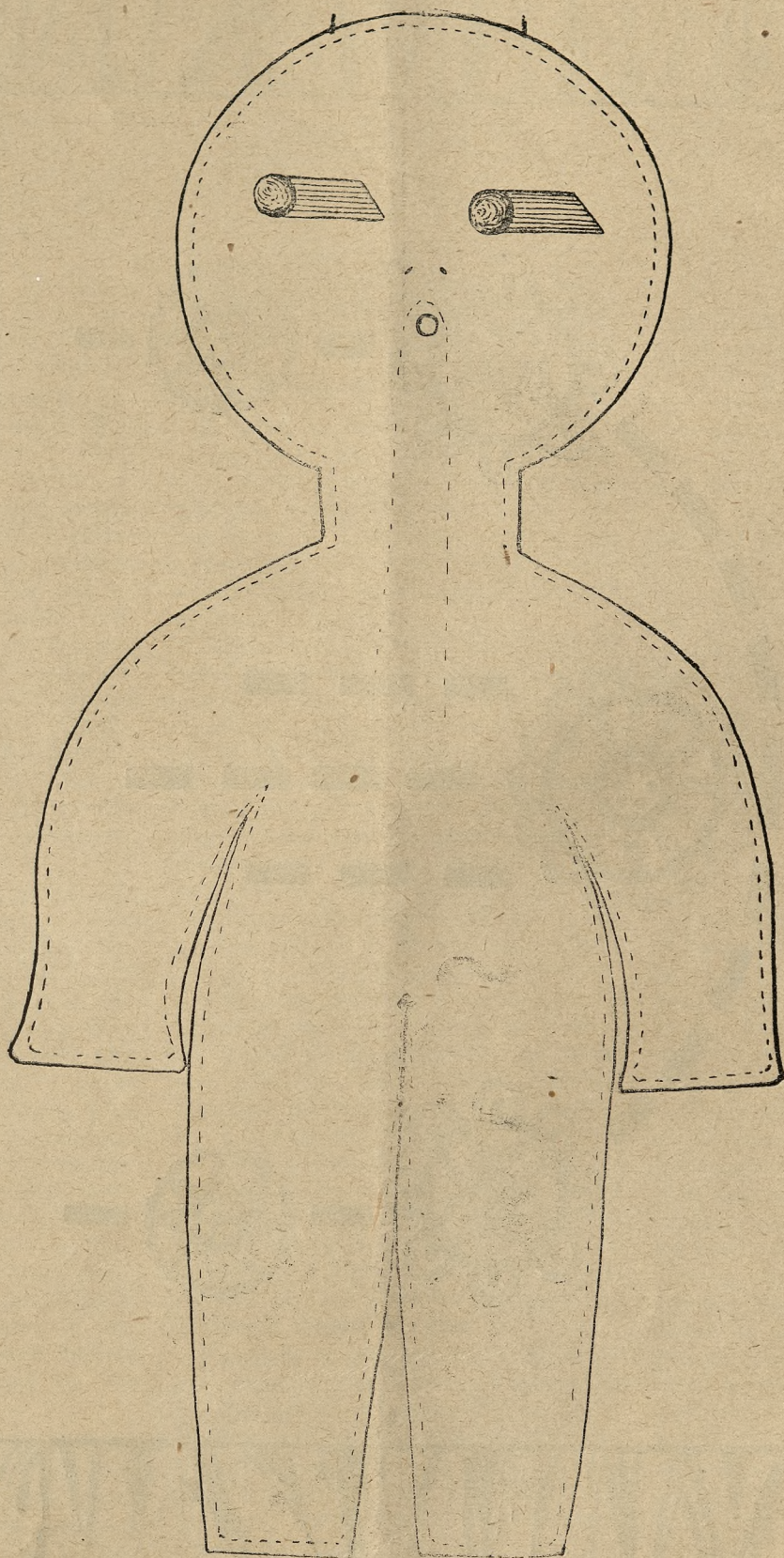
SZKOŁA MANEKINÓW

Jedna z wielkich firm krawieckich w Londynie otworzyła niedawno szkołę dla „manekinów”, mającą na celu przygotowanie całego szeregu młodych Angielek do tego zawodu, w którym dotychczas jeszcze rejdę Francuzki.

Uczenice tej szkoły ćwiczą się w gimnastyce rytmicznej i plastyce, przyczem główna uwaga zwrócona jest na samą sztukę chodzenia. Zdawać by się mogło profanom, że jestto sztuka zupełnie naturalna i nie wymagająca żadnych specjalnych przygotowań, każdy człowiek bowiem uczy się jej w przeciągu pierwszego roku swego życia. Wielcy mistrzowie krawieccy jednak wiedzą dobrze, że od sposobu przejścia modelki przez salon zależy w znacznym stopniu fakt zaaprobowania przez klientkę sprezentowanej jej toalety. Uczą się więc przyszłe manekiny chodzić to w tempie powolnem i majestatycznem, to w żywym, prawie tanecznem — a zawsze z gracją i swobodą ruchów. Wreszcie, po ukończeniu kursu, słuchaczki składają egzamin — oczywiście praktyczny, poczem te, które wykazą się dostateczną umiejętnością „pięknego noszenia sukni” — otrzymują dyplom „wykwalifikowanego manekina.”



956.



Rvs. 1.

LALECZKA WŁASNEJ ROBOTY

Chcąc zrobić ładną i niedrogą lalkę dla dziecka na gwiazdkę trzeba wziąć kawałek madepolamu, lub jakiegokolwiek mocnego materiału długości 44 cm. szerokości 12, musi być biały lub blado różowy, kolor ciała dziecka, jeżeli jest biały trzeba go ufarbować w kolorystyce różowym, biorąc go b. mało, aby był zaledwie zabarwiony na różowo.

Zamoczywszy parę razy, wypłókać w zimnej wodzie i przeprasować gorącym żelazkiem. Następnie złożyć go na pół, aby długość wynosiła 22 cm., wyciąć załączoną foremkę (r. 1), dokładnie obrysować, sfastrygować materiał i nie wycinając przesyć na maszynie trochę bliżej, jak rysunek. Szyć od głowy, prosto, pozostawiając niezasyty koniec głowy szerokości 3 cm.

Wziąć suchych trocin drzewnych i sypać łyżeczką, równocześnie ubijając patyczkiem nie bardzo ostrym (tęnym ołówkiem), aby upychając trociny nie przebić materiału, ubijać trzeba bardzo mocno, ażeby pod palcem zupełnie się lalka nie ugięła, gdy już napchamy nogi, ręce i tułów, jeszcze mocniej nabijamy głowę, poczem w szyję kładziemy szpilkę podwójną lub patyczek, aby głó-



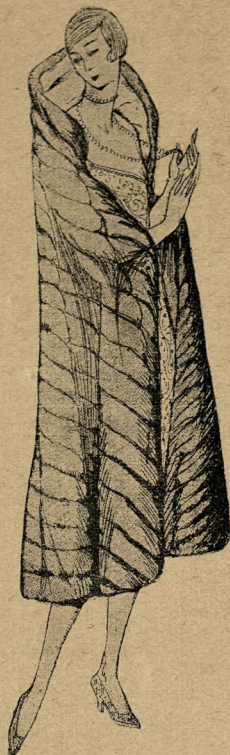
wa była mocno ob-sadzona, wierzch głowy zamykamy kawałkiem waty i okrętką zaszywamy, aby trociny się nie sypały. Na zaszytej główce rysujemy oczy; część oka wyrażającą białko zasnuwamy równiutko, kładąc nitkę obok nitki, źrenicę haftujemy jedwabiem niebieskim, fiołkowym, lub zielonym, poczem całe oko obwodziśmy jaśniejszym brązowym jedwabiem. Nosek tj. dwie kreseczki robimy ponsowym jedwabiem i także usta w kształcie kółeczka. Peruczkę robimy z włóczki białej, lub kolorowej, czesząc ją mocno grzebieniem, aby zrobić z niej lekki puch. Przyszywamy go od spodu na głowie i także pomponiki na nóżkach jako zakończenie.

Ubranie takiej lalki jest b. prymitywne. Z pół metra wstążki szerokości 4—5 cm. robimy szeleczki, które zastępują staniczek i spódniczkę, którą przyszywamy po umocowaniu szelek na korpusie.

Z pozostałego kawałka robimy fantazyjną kokardę, którą umieszczamy na głowie i laleczka już gotowa.

Robiąc lalkę, trzeba uważać aby zeszyta była nićmi białymi, lub różowymi, a do ubrania jej należy użyć jedwabiu tego samego koloru co wstążka.

FUTRA NA WYSTAWIE PARYSKIEJ



rys. 1



nadaje wybitną, a swoistą wartość prospektom, anansom, reklamie..

I odtąd współpraca, która okazała się, leżała tak bardzo w interesie stron obu, prowadzi do porozumienia trwałego i cennego i daje wyniki szybkie i zadziwiające. Dzisiejszą „modę” można bezwzględnie i śmiało nazwać modą artystyczną.

Rysunek i dobór barw, wyraz i linja, począwszy od ścian, zdobnych cudnymi tkaninami, od rysunku artystycznie projektowanych dywanów i makat, od kształtu mebli, rozmieszczenia roślin, obrazów, dzieł sztuki, efektów świetlnych, całej dekoracji wnętrza, wzorzystej mozaiki kwietników, skończenie pięknej linii nowopowstają-



rys. 2

Przepaść, jaka dzieliła w czasach dawnych sztukę od handlu i przemysłu, zaczęła się wyrównywać w końcu wieku dziewiętnastego. Zaczątek porozumienia przyniosły ze sobą słowa, których siła niejednokrotnie okazała się większą, niż siła faktów i czynów.

Otóż w przepaść tę, co takim ogromem niezrozumienia dzieliła sfery pracy zarobkowej i realnego w ich mniemaniu dobrodziejstwa od podniebnych, górnych i chmurnych sfer artystycznych u schyłku wieku dziewiętnastego na progu dwudziestego padły słowa:

Sztuka Nowa, Sztuka Stosowana, wreszcie ostatnio Sztuka Dekoracyjna.

I oto stał się cud. Cała plejada przyziemnych groszorbów zwróciła oczy swe, ciekawością rozszerzone, ku przedstawicielom tych nowych prądów.

Z licznej rzeszy, której odtąd nadawali miano rozkapryszonych i niewychowanych dzieci, niezdolnych do owocnego i pożytecznego wysiłku, zaczęli wyławiać jednostki cenne i we współpracy niezastąpione.

Pojawiają się coraz częściej na arenie życia handlowego artyści, jako twórcy projektów, modeli jako dekoratorzy wnętrza, wystaw wielkich magazynów, rysownicy katalogów, ci, których pędzel, lub piórko

cych siedzib ludzkich, a skończywszy na toalecie kobiecej, wszystko nosi dzisiaj na sobie cechę artyzmu i w każdej dziedzinie szarym tłumem wykonawców kieruje iskra Boża,

co tli w piersi wybranej Wyrazem doskonałego i sprawnego porozumienia, w jakim pracują dzisiaj handel, przemysł i Sztuka, była paryska Wystawa Sztuki Dekoracyjnej.

Z pomiędzy wielu działów, których inspiratorką była kobieta, jednym z ciekawszych i wspanialszych był dział futer, jego przepych i pomysłowość.

Kapryśna moda nie uznaje w tym roku prostoty i jednolitości, nie uznaje jednokolorowych błamów futra, a każe szyć je w wymyślne desenie, inkrustować łącznicami i dobierać najfantastyczniej i najpomysłowiej.

Kilka załączonych wizerunków daje obraz daleko idącej fantazji jaka, zataczając coraz szersze kręgi, nawet futra nasze, co przez tyle wieków chroniły poprostu od chłodu, rzuciła w dzieła i arcydzieła sztuki.

Kwestją pierwszej wagi jest dzisiaj dobór barw i dobór rodzaju futer. Nie spotyka się prawie modeli, wykonanych z jednego rodzaju skór, a najefektowniejsze i najmodniejsze połączenia, noszą na sobie piętno wybujałej i pełnej szerokim ujęciem fantazji.



3

4

5

Przyjrzyjcie się załączonym modelom.

Wspaniała „cape“ z t.zw. „petits gris“ (le lapin de Champagne), utrzymany w tonach popielatych od najciemniejszego do jasnego, kołnierz podbity gronostajami (rys. 1).

Płaszcz z kretów, przybierany kokardami w formie róż, układanych z kreciego futra (rys. 2); płaszcz z breitschwanzów (łapki karakułowe prasowane w deseń przypominający morę) wykończony szeroką falbaną kłoszową z futra zwanego „kolinski“, czyli nurków farbowanych na kolor bardzo jasny blond, kołnierz, szerokie obrzeżenie rękawów i rodzaj szala o fantastycznym kształcie z tegoż futra, służą jako fantazyjne i oryginalne przybranie (rys. 3).

Wspaniałe płaszczyki w formie peleryny z tak bardzo dzisiaj modnych breitschwanzów, garnirowane zębami z białych baranków, krótko strzyżonych, kołnierz wspaniały i bogaty z lisa czarnego (rys. 4).

Tak zwana „cape“ szyta z gronostaj, przybierana inkrustacją



rys. 6

rzuconą na tło z lutrów morskich koloru beige (rys. 5), wreszcie płaszcz z nurków, łączonych z wą-

ziutkami paskami gronostaj, z kołnierzem z lisa.

Modele te są zaledwie maleńką częścią tych, jakie roztaczały przepych swój na Wystawie Paryskiej, lecz dają pojęcie o tem, czego wymaga moda od sztuki kuśnierskiej, a kształt ich, linja, koloryt i misterne wyszukanie, z jakim je projektowano, są wyrazem epoki, która nie umie doszukać się uroku w prostocie, epoki fantastycznej, wymagającej, kapryśnej, żądnej silnych wrażeń i ostrych podnieć wzrokowych.

Niezaprzeczenie piękne są kreacje dzisiejsze, a jednak zarodek przepychu i żądzy coraz większego zbytku, jaki przywarł piętnem do wszystkich wskazań mody staje się wprost anomalią, wobec kryzysu, w jarzmie którego jęczą społeczeństwa i narody.

Usprawiedliwieniem jedynem tej anomalji jest to, że kolebką zbytku i coraz fantastyczniejszych pomysłów jest Stolica Świata, która mądrość narodów zamknęła w przysłowiu: „Les extrémités se touchent“.

W. D.

L I S T Z P A R Y Ż A

Po lekkich wahaniach temperatury nastąpiła na dobre jesień, cudna paryska jesień, bogata w promienie słońca.

Złota kopuła starego pałacu Inwalidów lśni się lekko złagodzonego blaskiem, i niema nic piękniejszego na świecie nad niezrównaną perspektywą „Louvre-Concorde, Arc de Triomphe“, blednącą powoli w promieniach jesiennego słońca.

Ale idąc nieco w kierunku bulwarów dekoracja się zmienia. Radość życia wchodzi tu w swoje prawa w całym znaczeniu tego słowa, nietyle poetyckim, ile praktycznym.

Różnobarwna fala ludzka tłumnie zalewa kawiarnie i przygląda się wystawom sklepowym. Paryskie sławne witryny! Kto z przyjezdnych nie uległ ich urokowi, kto oparł się chęci obejrzenia wszystkiego i kupienia chociażby jakiejś drobnostki? Są to zresztą uczucia bardzo zrozumiałe, bo wystawy tu tejsze mają ustaloną w świecie całym markę, opartą na odwiecznej tradycji, w której wytworny smak i elegancja walczą o lepsze.

„Ekspozycja“ wywiera tu swój potężny wpływ. Nowa sztuka panuje

tu wszechwładnie i tak naprzykład: prezentacja obuwia, rękawiczek, futer nie ustępuje pod względem artystycznym wystawom ostatnich teatrów „avant-garde’y“.

Wystawa futer przyciąga zwłaszcza spojrzenia w kierunku manekinów z wosku o twarzach tak bardzo ludzkich, że zdawać by się mogło, że żywe. Mała złota lub srebrna główka, modernistyczne ręce i nogi, — typ kobiety z Ekspozycji.

Futra na tych figurynach, to cudowne kombinacje z kwadratów, trójkątów i t. p. doprowadzone do miękkości i cienkości aksamitu i dążące za modą w najbardziej krańcowych jej przejawach. Ukosy futrzane. Olbrzymie marszczone kołnierze. Kolory jesiennie. Na spodzie witryny, na ziemi, poduszki i dywany z futer, a pośrodku, jak gdyby jezioro srebrzyste, rozpościera się płat gronostaj.

Idźmy dalej nieco. Co za radość dla oka i prawie uczta dla znawcy artysty ta luksusowa witryna z obuwem.

Na kryształowych podstawach skrzyżowanych w przestrzeni w

sposób iście kubistyczny spoczywają pantofelki tak wytworne, tak lekkie, że robią raczej wrażenie jakichś dziwnych i czarownych cacek, wyszłych z rąk wróżki. Małutkie, bardzo wygięte, obcasowy wąskie i wyższe, niż kiedykolwiek, są one tego roku trochę ostrzejsze u dołu, niż dotąd. Na dzienny użytek „chevreau“ i zamsz łączą się we wszelkich tonach, idących od kremowego do kasztanowego, przechodząc przez herbaciany i „havanne“, tworząc całą paletę kolorów godnych artysty.

Na wieczór chevreau złote i srebrne bierze górę nad lamą. Dla otrzymania nowych efektów chevreau się plecie, haftuje, wysadza całkowicie sztucznymi brylantami i szmaragdami. Jak z bajki z tysiąca i jednej nocy zdają się te cuda przypadkiem wymknięte z drogo-cennego skarbcza...

Ale posuńmy się naprzód. O kilka kroków dalej uwagę naszą zwracają worki i parasole, swymi niezwykle rozmiarami: worki coraz większe, parasole coraz mniejsze, na co zresztą wskazuje zupełnie słusznie ich nazwa—Tom-pouce.

Zadaniem dobrego smaku jest harmonijny ich dobór. Ciemno-zielony parasol z rączką z bursztynu figuruje tu z olbrzymią „pochetą” z zielonej krokodylowej skóry, podbitą zamsem koloru hawanna.

Parasol i worek mają nadmiar jednakowy złoty monogram. Inna kombinacja: brązowy „Tom-pouce” z rączką z przezroczyściego

jaspisu, — worek z box-calfu brązowego, ozdobiony bogato zieloną emalją i t. d.

I wreszcie witryna z rękawiczkami. Tu kończy się pojęcie o przepychu i fantazji, do których może dojść ten oddział konfekcji kobiecej. Na wyłogi składają się bogactwa w postaci futer, prawdziwych koronek, inkrustacyj z dro-

gich kamieni, z łuski srebrnej, lub złotej, coraz oryginalniejsze, coraz bogatsze, coraz droższe.

Oczywiście, że szczytem marzeń eleganckiej paryżanki jest harmonijne dobranie całości: kapelusza, pantofle, rękawiczki, parasol i t. d. Tylko w ten sposób osiąga się prawdziwy efekt, polegający na dobrym smaku i prostocie. *Sekwa.*

MODNE DAMY W EPOCE ROMANTYZMU

Marja Antonina — ostatnia królowa mody na tronie. Księżna d'Angoulême i księżna de Berry dwa bieguny usposobień i stroju. Berło mody przechodzi do królowych teatru. Paryż wyrocznią w sprawach stroju. Berlin siedliskiem szpetoty. Wyspiarski tradycjonalizm anglelek. Śmieszność kompromituje gorzej od występku.

Prawa, rządzące zmiennością mody, wymykają się z pod analizy rozumowej. Jest rzeczą bardzo śliską upatrywać ścisły związek przyczynowy między sposobem ubierania się, a prądami natury społecznej lub intelektualnej. Dlaczego pstrokaczyna i przeładowanie ozdobami budek i czepeczków kobiecych ma koniecznie odzwierciedlać mieszaninę romantyzmu, welszmercu, mistyki, magentyzmu, legend średnio-wiecznych, jaka napełniała ich głowy? Czy ciężka majestatyczna drapeżka, która zjawia się po roku 1830, ma coś wspólnego z ogólnym spowężnieniem i pogłębieniem umysłów pod wpływem ostrych zagadnień społecznych? Nie bądźmy zbyt pochopni w dawaniu odpowiedzi na te pytania, jeżeli nie chcemy tanim kosztem zarobić na zarzut doktrynerstwa.

Jedno jest faktem pewnym i niezbitym: radykalną zmianę w ubiorze wprowadzały zawsze pojedyncze, wybitne jednostki świata kobiecego. Marja Antonina była ostatnią monarchinią, nadającą ton modzie. Józefina i Marja-Ludwika nie wywierały żadnego wpływu w tym zakresie. Szły ślepo za modą, nie moda za nimi. Paryż pozostawał źródłem nowych pomysłów, ale duch, ożywiający je nie wiał od tronu.

Księżna d'Angoulême nie mogła nigdy zapomnieć strasznych przejsić

swej młodości i te wspomnienia rzuciły cień smutku i żałoby na jej późniejsze upodobania i stroje. Oddana pobożności i miłosierdziu, ubierała się zawsze ciemno i z prostotą, tylko z musu na wyjątkowe uroczystości odstępowała od przyjętego przez się zwyczaju.

Podczas długiego wygnania w

Anglii ubierała się jak Angielka i do tego stopnia zatraciła gust w ubiorze, że gdy w 1814 r. wracała do Francji, damy witające ją w Compiègne, były zgorżzone jej wyglądem i oświadczyły stanowczo, że w stroju tak dziwnym księżna nie może pokazać się w Paryżu. Z trudem udało się ją powstrzymać od wprowadzenia na dworze rogówki.

Jej krewniaczka, księżna de Berry, młoda, żywa, pełna temperamentu, którego ciosy losu nie zdołały uśmierzyć, wniosła świeży powiew młodości na ponury dwór. Wbrew etykietce zwiedzała sklepy paryskie i, co było dotychczas rzeczą wprost niesłychaną, bywała na balach publicznych.

Wydany przez nią w marcu 1829 roku bal kosztumowy, który przedstawiał uroczysty pochód Marji Stuart do Tuilerji i na który większa część uczestników przywdziała stroje i uzbrojenia przodków nie wywarł na modę współczesną takiego wpływu, jak o dwa lata wcześniej zabawa maskowa artystki teatralnej, panny Mars, tej samej, która jako Betty w „Młodości Henryka IV” wprowadziła w modę krezę i tok z piórami.

Berło panowania w dziedzinie stroju przechodzi od monarchii do królowych teatru. Od tego czasu datuje się zbyt w toaletach scenicznych, szybko rosnący w miarę postępu lat.



Rok 1825.

Kiedy w 1818 r. wspomniana już panna Mars ukazała się na scenie w sukni z różowego tiulu wartości 282 franków, zanotowano to skwapliwie, jako curiosum.

W dwanaście lat później korespondent pism niemieckich pisze z zachwytem, że panna Bertin w ostatniej swej roli w teatrze Variétés siedem razy zmieniła toaletę i stawia ją za przykład purytańskim aktorkom niemieckim, które mają czoło pokazywać się w tej samej sukni na ulicy i na scenie. Wiedeń najszybciej pod

tym względem starał się dorównać Paryżowi, jak o tem świadczy Karolina Bauer, skarżąc się, że tylko zbyt-
kowne toalety zapewniają powodzenie artystce w teatrze wiedeńskim. Wyższe sfery wierzyły jednak ciągle w Paryż, jak w wyrocznię. Wszystkie dworskie wyprawy tych czasów robi się w „stolicy świata”. M-me Minette szyje w 1830 r. wyprawę królowej hiszpańskiej, Calliaux—księżniczce Marjannie Niderlandzkiej, późniejszej małżonce księcia pruskiego Alberta, nawet Aleksandra Potocka mająca pod ręką Wiedeń z tyłu do skonałymi krawcami, woli zwrócić się do czarodziejów paryskich po modne „trousseau”. Najkosztowniejszą pozycję w ówczesnej wyprawie stanowiły jedwabie. Księżna Helena Orleańska dostała w posagu 80 sukien jedwabnych. W spisie toalet francuskiej panny młodej średnio zamożnej sfery znajdujemy 2 suknie aksamitne po

175 talarów, dwie atlasowe po 75, suknię z „poult de soie” w tej samej cenie i... za 300 talarów koronek. A jak się działo w innych krajach? Z trudem starały się one zbliżyć do niedościgniętego wzoru „wyższych dziesięciu tysięcy” Paryża. Wyniszczone Niemcy nie były terenem odpowiednim do zaszczepienia modnych zbytków.

Królowa Niderlandów, z domu księżniczka pruska, przebywająca głównie w Berlinie, mogła się poszczycić tylko dwoma peniurami. Jak oszczędna dziewczynka z bajeczki, „dwie sukienki miała; jedną nosiła, drugą sobie prała”. Jadwiga [von Bismarck] w późniejszym

wieku wspomina paradną suknię matczyną. Była zrobiona z czerwonego kartunu (rodzaj perkalu) lamowanego złotymi jedwabnymi sznurami. Nawet księżniczki krwi i dany dworu nosiły zimą i latem jednakże perkal kowe sukienki, przywdziewając jedwabie tylko „od wielkiego dzwonu”.

O podejrzanej elegancji Berlina świadczy list pewnej damy, która już we Frankfurcie nad Menem zauważyła brak jaskrawych fatalaszków i fałszywych świecideł, jakie-

tym samym wojnom, które materialnie podkopały Niemcy, ale rezultaty w dziedzinie mody były tu i tam bardzo podobne.

To, co się działo w Niemczech wskutek niedostatku i braku gustu, w Anglii było wyrazem pewnej zarozumiałości i wyspiarskiego odosobnienia. Wspomniany powrót księżnej Angoulême do Francji jest charakterystycznym przyczynkiem w tym względzie. Angielki pozbawione kontaktu ze stolicą mody, długo pozostały wierne rogówce, przywdziewając ją z okazji galowych uroczystości.

Na użytek codzienny stwarzały specjalne stroje, niezbyt szczęśliwie przyswajając pomysły francuskie według angielskiego gustu. Jeszcze w r. 1840 zauważono niesłychaną oporność wyspiarzy wobec wszechświatowego podboju mody francuskiej. Nie wychodziło im to jednak na dobre. Piękności angielskie obwieszały się bez miary fatalaszkami, i nawet kosztowne klejnoty traciły na świetności i blasku dzięki niegustownej oprawie. Kiedy Wilhelm III składał wizytę starej królowej, dwór wydał mu się prosto komiczną maskaradą, tak go razily przestarzałe stroje. Kiedy po upadku Napoleona Angielki zaczęły podróżować po kontynencie, wszędzie wywoływały żarty i drwiny dziwnym ubraniem, zarówno w Paryżu, jak w Wiedniu, Rzymie i t. d. Jak oddalenie fatalnie oddziaływało w kierunku zwyrodnienia pięk-

nych wzorów paryskich, świadczy fakt, że gdy księżna de Berry w 1830 r. pojechała na spotkanie swych rodziców, królestwa obcyja Sycylii, prosto osłupiała na widok strojów, w jakie zarówno uroczka para, jak i towarzyszący im orszak był odziany. Wymogła zatem na gościach, żeby wszystkie te kropności pozostawili na granicy, i w nieposzlakowanej modnej skórze wjechali do Paryża.

Piękna i niefrasobliwa kobieta pamiętała zawsze o jednym, że śmieszność jest bronią bardziej zabójczą od występków. Unieszkodliwia się nią łatwo jednostki; czasem obalić nią można nawet trony. *Spero.*



Rok 1825.

mi obwieszały się berlińskie elegantki, aby zamaskować wrodzone zaniedbanie i brak gustu.

Zbytek w strojach datuje się w Berlinie dopiero od roku 1824 kiedy Fryderyk Wilhelm III poślubił hrabinę Augustę Harrach i jak głosi sama, zaczął dla niej sprowadzać z Paryża toalety i kapelusze za pośrednictwem... tancerki Lemière. Ten fakt nie wywarł jednak zbyt odświeżającego wpływu, bo Abraham Mendelson w liście z Paryża zaznacza, że wbrew berlińskim zwyczajom, panuje tam wielka prostota w kroju i barwie sukien. Co się tyczy Anglii, to choć z bogaciła się ona i spotężniała dzięki

FRANCJA, O REFORMIE GOSPODARSTWA DOMOWEGO

W momencie gdy i u nas rozpoczyna się akcja w kierunku taylorzacji pracy domowej, zorientowanie się w dorobku innych krajów posiada więcej niż teoretyczną doniosłość. Wspominałam nieraz w poprzednich moich artykułach o wynikach osiągniętych w tej dziedzinie przez Amerykę, Anglię, Belgię. Mimo wartościowych wynalazków, dokonywanych przez Francuzów, Francja, zapewne wskutek mniejszego zmysłu organizacyjnego, dała się wyprzedzić wymienionym powyżej państwom. Nie może się poszczycić celową współpracą rządu ze społeczeństwem, jak sąsiednia Belgia, ani też wspierała placówkami naukowymi, jak zasobna w fundusze Ameryka. Ale, chociaż zaledwie od lat paru wstąpiła w szranki, zdołała już wnieść swe bezcenne przymioty narodowe: rozpęd, oryginalność, zmysł wynalazczy.

Garstka pełnych zapału uczonych i młodych działaczek przedsięwzięła trudne zadanie skupienia rozstrzelonych dotąd inicjatyw. Zrazu w Paryżu, potem w Nancy ukonstytuował się „Instytut Organizacji gospodarstwa domowego” (Institut d'Organisation ménagère) — ośrodek jednocześnie badań naukowych i propagandy, koordynujący pracę czterech niezależnych od siebie wydziałów.

Pierwszy, t. zw. „Komitet wydoskonalenia technicznego” jest organem ściśle naukowym. O jego poziomie i o stopniu zainteresowania, jakie wzbudził Instytut wśród elity inteligencji francuskiej, świadczą najlepiej nazwiska członków komitetu. Niektóre z nich może niewiele powiedzą polskiemu czytelnikowi, ale niewątpliwie uderzy go różnorodność dziedzin, które reprezentują. A więc przewodniczącym jest Louis Marin, vice-marszałek Izby Deputowanych, znany ekonomista i działacz społeczny (położył on wielkie zasługi w dziele opieki nad matką i dzieckiem); zaś, vice-przewodniczącym p. Agache, sekretarz Towarzystwa Urbanistycznego; funkcją sekretarki pełni wspomniana już na tych łamach p. Bernège, licencie des lettres, niestrudzona działaczka i organizatorka. Z pośród członków wymienić należy: Senatora Breton, dyrektora Urzędu Państwowego Badań i Wynalazków, b. ministra higieny; inż. Benoît l'évy, dyrektora Związku Miast Ogródów; chemikę p. Vezes, posiadającą dyplom wydziału „organizacji” uniwersytetu Bryn-Mawr; wreszcie licznych lekarzy, inżynierów — elektrotechni-

ków i przemysłowców. — Pierwszym wstępnym zadaniem, któremu się poświęcił Komitet, było sporządzenie bibliografii dzieł, traktujących o organizacji gospodarstwa domowego.

Drugi dział Instytutu stanowią sklepy, w których odbywa się pokaz aparatów i udzielane są wyjaśnienia i skutecznie instalacje.

Bardzo ciekawy jest trzeci wydział: fabrykacja takich aparatów, których modele, znajdujące się na rynku, wykazywały dotąd braki przy funkcjonowaniu. Podjął się udoskonalania ich i wyrobu jeden z członków Komitetu, pod kontrolą naukowców.

Wreszcie posiada Instytut doskonały przegląd: „Mon chez Moi”. Pismo to uderza obfitością i oryginalnością treści przy bardzo szczupłych rozmiarach. W krótkich, popularnych, dowcipnie zredagowanych artykułach, bogato ilustrowanych fotografiami i rysunkami, omawia sprawy mieszkaniowe (instalacja, umeblowanie, ogrzewanie i oświetlenie, kontrolę i przygotowanie pracy rozkład dnia, rachunkowość i t. p.), różne działy gospodarstwa; zawiera rubrykę listów od czytelniczek, w których dzielą się one nawzajem spostrzeżeniami i drobnymi wynalazkami; rubrykę ogłoszeń, pozwalających czytelnikom wymieniać, sprzedawać, kupować wspólnie i t. p. przyrzędy gospodarcze! Niemal każdy numer przynosi nowy, interesujący dział. Z sympatją i zainteresowaniem czyta się to pulsujące zapałem i humorem piśmko. W najbliższym czasie postaramy się wybrać dla czytelniczek „Bluszczu” garść informacji i rysunków z bogatego materiału roczników „Mon chez Moi”.



Instytutem zarządza Rada Administracyjna, złożona z wybitnych inżynierów i przemysłowców. Celem jaknajszerszego w nim udziału publiczności nadano Instytutowi formę towarzystwa akcyjnego, przy czym ograniczono wysokość subskrypcji do 5 akcji (500 franków). Zbawienną zasadą założycieli było dążenie do zachowania jaknajwiększej autonomii poszczególnych wydziałów. Sklepy są związane z Instytutem jedynie zwykłą umową, na podstawie której zobowiązują się sprzedawać zgodnie z dyrektywami Instytutu, wzamian za co aparaty ich otrzymują markę gwarancyjną I. O. M. W styczniu r. b. uniezależniło się również pismo „Mon chez Moi” i powstało Towarzystwo Wydawnicze i Biblioteka Gospodarstwa Domowego, któremu Instytut przekazał, w charakterze swego udziału „Mon chez Moi”.

W marcu rozpoczął się nowy etap działalności. Na wniosek ciała nauczycielskiego szkół gospodarstwa domowego założono w Paryżu „Ligę Organizacji Gospodarstwa Domowego”. Jak podkreślił w swym przemówieniu senator Breton, Liga spełniać będzie potrójne zadanie: narodowe — zaoszczędzając drogocenny czas kobiet francuskich, podwyższając ich poziom przez uszlachetnienie ich zawodu; naukowe — dzięki przewyciężeniu i w tej opornej dziedzinie ducha empiryzmu i rutyny; feministyczne, — podnosząc niedocenione funkcje gospodyni do godności zawodu. W tym celu Liga dąży przedewszystkiem do zgrupowania nauczycieli gospodarstwa domowego, następnie do propagandy wśród szerszej publiczności drogą odczytów, filmów, ulotek i t. p.

W zarządzie honorowym zasiadają m. in. Senator Marin i znany Warszawianin wybitny reformator belgijski, p. de Vuyst. Liga rozciąga swą działalność na prowincję i udziela poparcia licznie powstającym grupom lokalnym. Osoba sekretarki zarówno Ligi, jak Instytutu, p. Bernège, daje rękojmię jednolitości tego dzieła o dwóch obliczach: jednym, zwróconym do elity umysłowej, i drugim demokratycznym. Z każdym dniem przybywa nowa placówka, każda wystawa przysparza członków i przyczynia się do popularyzacji obu stowarzyszeń. Należy się spodziewać, że zdołają one w niedalekiej przyszłości zwalczyć dosyć zakorzeniony konserwatyzm gospodyń francuskich i utworzyć drogę postępowej gospodarki domowej.

Felicja Sachówna.

KULTURA PIECZAREK

Pieczarka jest jedynym grzybem, nadającym się do sztucznej hodowli. U nas mniej rozpowszechniona, we Francji, a zwłaszcza pod Paryżem, hodowana na wielką skalę, znajduje się w handlu w każdej porze roku, łatwa do zbycia, gdyż podnosi znakomicie smak wielu przypraw.

W naturze pojawiają się pieczarki bardzo różnorodnie i kapryśnie. Spotyka się je głównie na łąkach i pastewnikach, gdzie pasą się zwierzęta domowe. Od czego zależy ich urodzaj, nie jest dokładnie zbadane, faktem jednak jest, że tam, gdzie w jednym roku „rzuciły się”, jak mówią ogrodnicy, bardzo obficie, w następnym niema ich wcale. Czasem wyrastają na ubitych ścieżkach ogrodowych, lub pojawiają się w miejscach, gdzie niktby ich się nie spodziewał.

Kilkanaście lat temu na Rynku Krakowskim na szczelnym, suchym podkładzie ceglany pod asfaltem wyrosła olbrzymia pieczarka, która rozwijała się z taką siłą, że uniesieniem wysoko asfaltu, zwróciła na siebie uwagę. Skąd się tam wzięła, jakiemu kapryśowi natury zawdzięczała swoje istnienie, pozostanie na zawsze tajemnicą.

Niełusznie u nas zaniedbana hodowla pieczarek, przynieśćby mogła podwójne korzyści: bogate materialne w stosunku do pracy i nakładu jakich wymaga i moralne pod postacią miłego i łatwego zajęcia.

Pieczarki zakładać można w dobrze opatrzonych, niezbyt suchych zwyczajnych piwnicach, lub w umyślnie na ten cel wykopanych, na 1 metr głęboko, dołach — na podobieństwo wiejskich dołów na kartofle — przykrytych daszkiem z desek, opartym na mocnych słupkach, na zimę obłożonym słomą. Światła nie potrzebują, tylko łatwego przewietrzania i odpowiedniej temperatury, najwłaściwsza 15° C. Hodować je można także w szklarniach pod półkami, w stajniach i komórkach. Najlepszy rezultat osiągnęłam w swoim czasie z pieczarek, założonych w ciemnej komórce przy śpichlerzu, gdzie tak się udały, że zbiór ich przez kilka miesięcy był niewyczerpany. Jako materiał do hodowli służy słomiasty dobrze nawóz koński, który dłużej pod koźmi leżał. Aby uniknąć zbyt gwałtownego grzania się świeżego nawozu, trzeba mieszać go z jedną trzecią częścią ziemi inspektowej, lub nawet dobrej, zwyczajnej z pewną ilością liści, które sprzyjają bardzo

rozwojowi pieczarek—do ziemi dosypać pół na pół tynku ze starego muru, sproszkowanego gruzu lub poprostu proszku z kamienia wapiennego. Z takiej mieszanki zaktadać można zaraz grządki, nie czekając, aż się nawóz przepali. Najodpowiedniejszy stopień ciepła i wilgoci zachowują grzędy szerokie na 30—40 cm. zależnie od warunków, udeptane, albo ubite cegłą.

Grzędy na ziemi zakłada się w kształcie redlin, wygórowanych środkiem, mających spad na obie strony, lub pod ścianami jednostronnie. Można także urządzić półki, przybite do ściany na metr odległości jedna od drugiej. O ile wysokość piwnicy na to pozwala, sposób ten okazał się bardzo praktyczny, gdyż znacznie powiększa zbiór, a zatem i podnosi dochód z pieczarkarni, przytem pieczarki na półkach, mających więcej ciepła, prędzej plonują.

Wystudzony przy zakładaniu grząd nawóz, po paru dniach na nowo grzać się zaczyna. Za pomocą termometru sprawdzamy jego ciepłość, jeżeli termometr wskazuje 30° C. i wyżej trzeba z sadzeniem zaczekać, jeżeli temperatura jest niższa i po paru dniach ustali się (najpożądawsza 25° C. w głębi grzędy), można grzybnię sadzić. Grzybnię nazywamy białe nitki, grubsze i cieńsze, które gęsto przerastają ziemię, nawóz w inspektach, gnijące liście i t. p. W miejscach, gdzie nitki grubieją, pojawiają się drobne, paciorkowate twory, które wyrastają w to, co nazywany pieczarką. Taką grzybnię, zebraną w lecie wszędzie, gdzie się pieczarki ukazują, trzeba zasuszyć, starannie przechować, i z niej zakładać grzędy.

Kto stale hoduje pieczarki, temu grzybni nie zabraknie, rozpoczynając jednak hodowlę i nie mając własnej, możemy kupić je u ogrodników i rozmnożyć na malej grządce z nawozu.

Kupowana grzybnia często zawodzi, bo albo jest za stara, albo źle przechowana. Pieczarki zwykle zakłada się na jesieni we wrześniu, październiku — aby z nich korzystać przez całą zimę. Można jednak zakładać je w każdej porze, gdyż zawsze są bardzo poszukiwane. Jeżeli hoduje się je ciągle w tym samym budynku, oczyścić go jak najstaranniej przed założeniem nowych grzęd. Ściany i pułap pobielić, starą ziemię wyrzucić, zdezynfekować ubicaję przez spalenie na

węglach garści siarki, przy jaknajszczelniej pozamykanych wszelkich otworach, aby dym z siarki jak najdłużej pozostał. Skoro mamy grzędy przygotowane, sadzimy w nie zarodki, czyli grzybnię. W tym celu robimy drewnianym kołkiem, w każdym kierunku, co 30 — 40 cm. głębokie dziury, w które wkładamy kawałki grzybni tak, aby jej wierzchołek znajdował się na 2 — 3 cm. pod powierzchnią, obciskamy silnie nawozem dookoła i równamy grzędy. Jeżeli w miejscu gdzie zakładamy pieczarki daje się utrzymać równa temperatura i dostateczna wilgoć w powietrzu, nie nakrywamy niczem grządek. W przeciwnym razie okrywamy je prostą słomą, którą odsuwamy tylko do zbierania pieczarek. W ciągu dwóch lub trzech tygodni po posadzeniu grzybni, zaczyna robić się widocznym jej rozrost. Z powkładanych zarodków nitki przechodzą w otaczający je nawóz i rozrastają się w różnych kierunkach. Gdy grzybnia się wzmocni — usuwamy stare kawałki, dziury po nich zatykając nawozem. Kiedy pod samym wierzchem ukazą się niteczki, przysypuje się grządki na 1 cm. grubo ziemią, której jakość jest obojętna, może być nawet piasek, lekko przyklepuje i czeka na ukazanie się pieczarek.

Od posadzenia do rozrośnięcia się grzybni upływa zwykle 3 tygodnie i tyleż od przysypania ziemią do plonowania. Tutaj jednak ściśle czasu określić się nie da. Zależy on od temperatury, wilgoci i niezbadanych warunków. Czasem już po miesiącu ukazują się pierwsze pieczarki, a czasem i w dwa jeszcze niema. Przypominam sobie, jak mieszkając na wsi przed wojną, miałam zamiar skasować po dwóch miesiącach założoną w piwnicy pieczarkarnię — bo nic się nie pokazywało. Że jednak piwnica przeznaczona na tą hodowlę do niczego więcej nie była potrzebna — zeszło z wykonaniem tego projektu do końca trzeciego miesiąca. Kiedy udałam się do piwnicy, aby nareszcie zamiar mój skutecznie, z podziwieniem ujrzałam grzędy wprost zasypane maleńkimi grzybkami. Plon był obfity i długotrwały. Pieczarki na rozwój zużywają dużo azotu, korzystnym jest bardzo, zwłaszcza kiedy są na wyczerpaniu, dla podtrzymania wydajności, posypać grzędy saletrą chilijską, biorąc 50 gr. saletry na 1 metr kwadratu grzędy. Gdy się pojawią pieczarki, zbiera się je zanim otworzą się — otwarte tracą dużo ze swej

sprzedażnej wartości, to też kiedy najobficiej plonują, trzeba zbierać je codziennie, delikatnie wykręcając każdą, aby nie uszkodzić otaczających ją drobniotkich. Z tego względu lepiej byłoby ścinać, ale nie można tego robić, bo pozostałe w ziemi korzonki, gnijąc mogłyby zniszczyć całe gniazdo. Przyczyną nieudania się hodowli bywają: zbyt zaduszone powietrze, nadmierna wilgoć, wadliwa temperatura, zła grzybnia i brak wapna w nawozie. Wapną pieczarki bardzo potrzebują, czego dowodem, że sławne szampiony, produkowane w Paryżu i jego okolicach, prowadzone są w podziemiach, powstałych z wybierania kamienia wapiennego, a zamiast ziemi do przysypania grządek używają francuscy ogrodnicy miążz z tego kamienia. Zraszać grzędy można tylko bardzo ostrożnie przez cienkie sitko, i jedynie wtedy, jak prawdziwie potrzeba, lepiej od czasu do czasu skrapiając ziemię i ściany, powiększać wilgotność w powietrzu, a co za tem idzie i w nawozie. Jeżeli grzędy mamy założone pod półkami w szklarni, trzeba uważać przy podlewaniu kwiatów, aby woda nie kapiała na pieczarki, bo dostaną rdzawych plam i zgniją. Przewietrzać trzeba często, bo pieczarki choć lubią wilgotne, nie znoszą zatekłego powietrza. O ile piwnicy, w której prowadzimy hodowlę, ogrzewać nie można, a ciepło wydzielające się z grząd jest niedostateczne, trzeba ułożyć na środku piwnicy pewną ilość świeżego nawozu, zmieszanego z liśćmi, które fermentując podniosą temperaturę wystarczającą. Chcąc mieć pieczarki tylko dla własnego użytku, można hodować je i w miejskich piwnicach, byle dobrze zapatrzonych od mrozu. Wtedy sady się grzybnie w płaskich skrzynkach, lub napół przerżniętych beczkach po saletrze.

Pieczarki używane są do przyprawy różnych potraw, zup i sosów, podnoszą znakomicie smak, stanowią dobrą jarzynę, a faszerowane doskonałą przekąską, lub garnitur do mięsa. Obiera się je z wierzchniej skórki i kładzie w wodę mocno zaciśniętą cytryną, aby nie zczerniały.

W porze kiedy jest ich najwięcej, suszy się na słońcu drobno pokrajane ogonki i wszelkie odpadki, tak mocno, aby utrzcć się dały. Ten proszek osiewa się przez sito, wsypuje do szczelnie zamkniętego słoika i po odrobince dosypuje w zimie do różnych zup, sosów, pasztetów, zrazów i t. d. Można również konserwować na zimę młode pieczarki w aparacie Weka, lub w małych kompotjerach.

J. S.

NALEŚNIKI

Najłatwiejsza do wykonania przystawka obiadowa, pasztecik do zupy, przekąska do wódki, lekka smaczna potrawa na kolację, — w zależności od tego, czego w danej chwili potrzebujemy. Wiele kucharzy woli naleśniki na mleku, jest to niedobry sposób, naleśnik taki ma konsystencję gumy, aby był miękki i delikatny należy go robić tylko na wodzie.

Dwa dobre, świeże jaja na szklanekę suchej mąki, — zupełnie jest dostateczne. Z tej ilości wychodzi 10 do 15 naleśników, zależnie od rozmiarów patelni i grubości samych naleśników, — nie powinny być grube, cienkość należy stać o ich smaku. Tej ilości starczy na trzy do czterech osób, możemy się odpowiednio orjentować i podwoić i potroić proporcję, o ile więcej osób ma zasiąść do stołu.

Jaja całe wbija się w mąkę, soli i potrochu dolewa wody, rozbijając mocno, aby masa była zupełnie gładką, bez gruzołków. Wody się leje tyle, aby ciasto było zupełnie rzadkie i cieniuchno po patelni rozlać się dało.

Patelnię mocno wygrzaną, niemytą, a tylko mocno, czystym papierem wytartą, (najlepiej mieć w kuchni jedną patelnię, średniego rozmiaru, z rączką, używaną li tylko do smażenia naleśników, na takiej nie przystają do dna), mocno rozebrać, smarować kawałkiem słoniny, zatkniętym mocno na widelcu, na gorącą lać trochę ciasta, wziąć za rączkę, pochylać we wszystkie strony, aby ciasto równomierną, cieniuchną warstwą pokryło patelnię. Zbywające ciasto odlać (przy następnym naleśniku już wiemy ile ciasta lać należy i niepowinno pozostawiać go po polaniu całej patelni). Postawić patelnię na rozgrzanej dobrze blasze, lub jeśli na odkrytej fajercie, to na takiej, pod którą jest żar tylko, a nie ogień i smażyć, aż dobrze obeschnie, wtedy zapomocą szerokiego noża, zręcznie przewrócić na drugą stronę, jeszcze nieco podsmażyć i wyrzucić na stolnicę, lub deskę. Smarować gorącą patelnię słoniną i tak dalej postępować, aż się wszystkie wysmażą, nie rzucać jednego na drugi, tylko jeden obok drugiego, bo by się pozlepiały.

Dalej zależnie od tego, na co naleśniki mają być użyte, postępujemy z nimi w rozmaity sposób. Jeżeli chcemy podać naleśnik jako oddzielną potrawę, kładziemy na każdy sporą łyżkę nadzienia, składamy naprzód po połowie, potem dwa końce do środka, aby wyglądały, jak złożone serwety i smażymy je rumiano na obie strony, najlepiej na smalcu, gdyż na maśle

łatwo się przypalają, — do takich naleśników często się podaje jaki sos: rumiany, biały, koperkowy, pomidorowy i inne.

Naleśniki do zupy smaruje się farszem przez środek, zakłada z dwóch stron brzegi do środka, poczem się je zwija w ścisłą rolkę, chcąc, aby ładnie wyglądały, należy je umaczać w rozbitym jajku, utarzać w tartej bułeczce i smażyć na obfitym smalcu, na pozostałym smalcu usmażyć kilka gałązek pietruszki i posypać nią ułożone w ładną piramidkę naleśniki.

Na przekąskę do wódki przyrządza się naleśniki zupełnie tak samo, tylko aby były odpowiednio mniejsze, przekrawa się naleśnik każdej na połowę, i robi z niego zamiast jednej dużej, dwie małe rolki. Chcąc użyć naleśniki do zapiekania z kaszą, na maciek z wątróbki baraniej t. p. wykłada się dno i boki rondla całymi naleśnikami, także całymi przekłada warstwy farszu i pokrywa wierzch babki. Piekąc należy położyć nawierzch kilka kawałków masła, aby się nie przypaliły, rondel powinien też być wysmarowany i wysypany tartą bułeczką, aby babka łatwo wypadła.

Na farsz do naleśników można użyć wszelkiego pieczonego i gotowanego mięsa, usiekanego i przysmażonego mięsa z cebulką i masłem, — móżdżków ciętych i wołowych, ugotowanych, utartych, zprawionych mąką z rosółem czy mlekiem i przesmażonych w maśle w cebulką; — ryżu gotowanego na sypko z jajami, ugotowanymi na twardo i usiekanymi, — a wiosną ze szczypiorkiem lub koperkiem zielonym; grzybów świeżych, duszonych w śmietanie, lub suszonych — odgotowanych i przysmażonych z cebulką; nerek ciętych usiekanych drobnucho wraz z otaczającym je tłuszczem; wszelkiego rodzaju farszów pasztetowych z wątróbki; kapusty słodkiej, lub kwaśnej, przyrządzonej, jak na farsz do rosyjskiej kulebiaki; czarnej kaszy hreczanej z grzybami, lub jajami na twardo; wszelkiego farszu z ryby gotowanej lub smażonej i t. p.

Jak widzimy rozmaitość jest ogromna. Jest możliwość zużycia wszelkich resztek, zastosowania wszelkich zapasów, — byle nie brakło pomysłu.

Jeżeli nam chodzi o użycie naleśników na leguminę, robimy nieco inaczej ciasto. Mianowicie rozbijamy mąkę tylko z żółtkami i wodą, nie zapominając nigdy lekko osolic, bez czego ciasto niema smaku. — białka się ubija na sztywną pianę, mięsza z ciastem przed samem usmażeniem. Naleśniki takie noszą nazwę biszkoptowych, są nieco grubsze, ale bardzo lekkie i smaczne. Smaży je się zupełnie

tak samo, jak uprzednie. Dalej do konfitur, składa się je na połowę, a potem jeszcze na dwoje lub troje, aby uformowały trójkąty, smaży na rumiano w maśle, osypuje cukrem z wanilią, lub cynamonem i podaje gorące. Chcąc je nadziać marmeladą owocową, lub serem na słodko, smaruje się cały środek, zawija brzegi do środka, aby się uformował wydłużony czworobok, składa jeszcze na połowę, tak, że naleśnik ma kształt złożonej książeczki, poczem się smaży na obie strony na maśle, lub szmalcu, gorące posypuje cukrem i podaje. Wyborne są też naleśniki przed złożeniem skropione obficie cytrynowym lub pomarańczowym sokiem, osypane utartą skórką tych owoców i cukrem, po złożeniu usmażone bardzo rumiano, takie nie potrzebują żadnych dodatków.

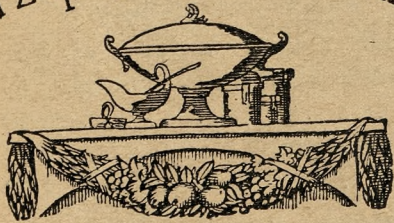
Można też naleśniki z marmeladą i serem zwinąć tylko w rolki, nie zaginając końców, układa się je na metalowy półmisek, wysmarowany masłem i wstawia dla mocnego rozgrzania pod blachą, są to czeskie „palaczynki“.

Na szarlotkę z jabłek, śliwek lub moreli używa się naleśników jak na maciek, lub babkę, wykładając rondel. Wyborną, wykwinną leguminę można zrobić, krójąc biszkoptowe naleśniki w szerokie pasy i smażyć je jak faworki w rozpalonym szmalcu, — osączone na bibule, osypuje się cukrem z wanilią i podaje z konfiturami, są wyborne.

Jeżeli dodam, że zwykłe lub biszkoptowe naleśniki pokrajane w pasy mogą zasłonić kluski w rosolu, lub puste, zwinięte w rolki i dobrze ogrzane mogą być podane zamiast omletów do szczawiowej zupy, zdaje mi się, że wyczerpałam wszystkie moje wiadomości co do naleśników i sumiennie się nimi podzieliłam z czytelniczkami „Bluszczu“.

Pani Elżbieta.

Przepisy gospodarskie



WĄTRÓBKA CIEŁĘCA DUSZONA.

Ładną, dużą, białą wątróbkę cielęcą wymoczyć trzy godziny w mleku, a w braku jego w zimnej wodzie. Obciągnąć ze skórki, naszpikować gęsto młodą słoninką. W rondlu zrumienić łyżkę masła, na to położyć wątróbkę i zrumienić ze

wszystkich stron. Skrajać w paski dwie cebule, jedną marchew, jedną pietruszkę, kawałek selera i jeden por, włożyć to wszystko do rondla, wraz z kilkoma ziarnkami pieprzu, listkiem ziela i trzema czy czterema goździkami. Dusić pod pokrywą, podlewając rosółem, lub chociaż wodą, aby się nie przypaliła. Próbować, przekłuwając głęboko widelcem i naciskając mocno, gdy krew się nie pokazuje — gotowa. Dopiero teraz wątróbkę osolić, gdyż solona wcześniej, byłaby twarda. Wątróbkę wyjąć, pokrajać w plastry i ułożyć na wygrzonym półmisku, w sos wsypać łyżkę mąki, zagotować raz, wlać pół szklanki jakiegokolwiek wina i tyleż rosółu, zagotować raz jeszcze i wylać wraz z jarzynami na wątrobie. W braku wina można go tu zastąpić śmietaną.

NÓŻKI CIEŁĘCE W CIEŚCIE.

Surowe jeszcze nóżki cielęce poprzerąbywać wzdłuż i dopiero wtedy gotować w wodzie osolonej z włoszczyzną, solą, pieprzem i listkiem. Gdy zupełnie zmiękną i odstana od kości, wyjąć, ułożyć na desce, przycinając, aby dobrego kształtu nabrały, i tak zastudzić. Na cztery nóżki (osiem kawałków), rozbić cztery czubate łyżki mąki z trzema żółtkami i taką ilością wody, lub mleka, aby ciasto było gęstsze, niż na naleśniki. Nie zapomnieć nieco osolić ciasto. Białko ubić na sztywną pianę, zmieszać z ciastem i natychmiast maczać w tym klarze nóżki, — smażyć na bardzo obficie roztopionym szmalcu, lub fryturze (na maśle się przypalają). Tłuszczu powinno być tyle, aby prawie pływały. Gdy się ładnie zrumienią, wziąć widelcem, osączyć ze zbytniego tłuszczu na bibule, ułożyć na półmisku i podać z cytryną, krajaną w ćwiartki, oddzielnie w sosjerce sos pomidorowy, lub rumiany z cytryną, lub korniszonami.

ZRAZIKI CIEŁĘCE.

Kto nie lubi cielęciny z racji jej mdłego smaku, — nie pozna jej w tem przyrządzeniu. Kawał sznycłowej bez kości, wagi około półtora kilo, a zatem z bardzo dużej ćwiartki, pokrajać na dziesięć równych zrazów, zbić je mocno, skropić cytryną, oliwą, popieprzyć (nie solić, gdyż zczernieją), i trzymać tak godzin parę. Usiekać trzy duże cebule (najlepiej hiszpańskie), rondel wysmarować masłem i układać warstwami zrazy i cebulę, przekładając w sezonie plasterkami świeżych pomidorów, zimą zamiast tego na sam wierzch włożyć dwie spore łyżki konserwy pomidorowej. Dopiero kładąc zrazy w rondel należy je solić. Nawierzch sam poło-

żyć sporo dobrego masła, wlać szklankę buljonu, lub dobrego rosółu. Dusić na wolnym ogniu pod pokrywą około pół godziny. Gdy zrazy zupełnie miękkie, wydać w temże samem naczyniu. O ile rondel nie jest ładny (srebrny, platerowany, lub aluminiowy), należy go owinąć serwetą. Do tego się podaje kartofelki mocno przysmażone, purée z kartofli, lub makaron włoski z rumianem masłem. Dobra potrawa na drugie śniadanie.

RZECZY NAJPROSTSZE

Kaszka krakowska. Jeżeli chcemy mieć kaszę sypką, należy w wigiliję użycia jej zatrzeć ją z jajkiem. Na pół kilo kaszy starczy jedno jajko. Zacierać tak długo, ucierając drewnianą łyżką na misce, aż jajko zupełnie w kaszę równomiernie wsiąknie, kaszę rozsypać drobno na duży półmisek, lub emaljonowaną brytannę i ususzyć gdzieś w miernem cieple, — w letnim piecu, pod blachą po skończonem gotowaniu, na półce w ciepłej kuchni itp. Przed gotowaniem kaszę dobrze rozetrzeć, aby nie było gruzołków, zaozarzyć wrzącem mlekiem, lub wodą, potrzymać minut pięć na gorącej blasze, włożyć sporą łyżkę masła, lub szmalcu, wymieszać dobrze od dna, przykryć pokrywą i wstawić pod blachę, gdzie sama dojdzie. Można też kaszkę ugotować wprost na wodzie z solą na bardzo gęsto i przed podaniem przetrzeć ją przez rzadkie sito na półmisku wygrzanym, i natychmiast, nie ugniatając, polać rumianem masłem, lub topioną słoninką ze skwarkami. Aby kasza nie wystygła, wstawić wręcz z półmiskiem pod blachę, trzymać jej jednak długo tam nie można, aby nie obeschła. Do rosółu gotuje się kaszkę na wodzie z solą i kawałkiem masła, rozsmarowuje cienką na palec warstwą na półmisku i tak zastudza. Przed podaniem kraje się ją w drobną kostkę i wrzuca w gorący rosół, w którym się ją trzyma minut pięć, aby się dobrze rozgrzała. Nie należy rosółu gotować, a tylko trzymać na gorącej blasze, aby się kaszka nie rozgotowała. Chcąc kaszkę krakowską podać na leguminę należy kubek kaszki zmieszać z kubkiem śmietany, pół kubkiem cukru i garścią drobnych rodzenków, dodać parę gorzkich migdałów, obranych z łupin i drobno utłuczonych, lub trochę żółtej skórki cytrynowej. Foremkę, lub mały rondel, wysmarować masłem, wsypać bułeczką, włożyć kaszkę zaprawioną i wstawić na godzinę w miernie gorący piec. Zamiast śmietany można użyć kubek wody i sporą łyżkę masła.

Pani Elżbieta.

Korespondencje działu praktycznego

p. S. B.

Dobranie ładnych serwetek do salonu jest bardzo zależne od rodzaju umeblowania. Radziłabym sukno, na niem haft, lub aplikację, lub płótno-samodział, lekko szare i na niem haftowany deseń.

Pani E. Ł. w Zielonce.

Nie widząc rośliny, trudno zawyrokujeć co jej dolega. Podaje sposób hodowania figusa, może Sz. Pani wywnioskuje co szkodzi Jej wychowańcu.

Fikus potrzebuje dużo słońca, wody w zimie średnio, temperatury od 10 do 15°, ziemi dobrze mierzwiowej, kompostowej z liściastą i opilkami rogowymi zmieszaną. W lecie wymaga jasnego, otwartego miejsca, zimować może w chłodniejszym byle słonecznym pokoju. Zmywać liście gąbką, maczaną w wodzie o temperaturze pokojowej, przesadzać na wiosnę, uważając, aby doniczka była dość duża. Uważać na mszyce, które zmywać wygotowanym tytoniem.

Pani J. Z. w Rudce.

Rozrobić trochę świeżo gaszonego wapna z wodą na rzadką masę, pokryć nią płamę, zostawić na parę dni, następnie zmyć ciepłą wodą. Można także płamę posmarować oliwą, a po paru godzinach wytrzeć watą. Jeśli to nie pomoże, wypolerować marmur specjalnym proszkiem, którego się dostanie w drogerjach.

Pani Z. K. z Kowala.

Niklowe sprzęty czyści się gliną, rozrobioną z wodą, albo myje tylko wodą z mydłem, koniecznie bez sody bardzo dla niklu szkodliwej. O ile rzuci się rdza, do czego nie powinno się dopuszczać, nasmarować naftą, lub oliwą, jeśli ta nie pomoże, wytrzeć lekko papierem szmerglowym, następnie glansować miękką szczotką, dla zabezpieczenia od rdzy jakiś czas nacierać rikiel sproszkowanym niegaszonym wapnem.

Jako szafę kuchenną najlepiej zastosować kredens, złożony z dwóch kondygnacji: u dołu szafka z półkami, u góry w środku oszklona szafka, nad dolną szafką szuflada, bokiem u góry otwarte półeczki.

DR. MED.

J. ŚWITALSKA

Choroby skórne, kosmetyka,
wener.

Wyłącznie dla kobiet od 5—7

KRUCZA № 31, mieszkania 3.

Telefon 102 77.

Pani Z. w Ratoszynie.

Szyby po zeszkobaniu wapna osiadłego radziłabym zmyć bardzo mocnym octem, a jeżeli i to nie pomoże, to kwasem siarczanym. Kilimy po bardzo dokładnym wytrześciu rozłożyć na czystej płachcie i prędko wycierać szczotką, aby wilgoć zbytnio nie wsiąkła, przestudzonym następującym płynem: kawałek mydła żółciowego rozgotować w 2 lit. miękkiej wody, w przestudzone wlać 4 łyżki amoniaku. Jeżeli kolory mogą puszczać, dosypać 2 łyżki soli kuchennej. Ścierać mydło gąbką, maczaną w zimnej wodzie. Wysuszyć prędko na wietrze i dopiero zupełnie suche rozkładać. O ile kilimy kosztowne, a kolory delikatne, zmaczać trociną drzewną w benzynie, grubo posypać kilim, wycierać szczotką do suchości, potem dokładnie wytrzeć i wyczyścić. Kapusty kwaszonej używa się tylko do dywanów z długim włosem dla zebrania kurzu.

* * *

Redakcja „Bluszczu“ odpowiada stałym Czytelniczkom na wszelkie pytania, dotyczące życia domowego, gospodarstwa, mód, robót i t. d. Listy należy adresować do redakcji działu praktycznego, załączając znaczek pocztowy na odpowiedź i dokładny swój adres.

Na listy anonimowe, względnie bez adresu, Redakcja odpowiadać nie będzie.

Odpowiedzi są załatwiane kolejno, a wobec wielkiego napływu listów, nie zawsze mogą być umieszczone w najbliższym numerze „Bluszczu“.

Opis sukien i robót do Nr. 49

939. Suknia balowa ze świecącego jedwabiu koloru ciemno-szmaragdowego, przybrana futrem.

940. Suknia balowa z koralowej georgette'y wykończona czarnym aksamitem i haftowana czarnymi paciorkami.

941. Skromna suknia z brązowego sukienka z jasnym kołnierzykiem i mankietami.

942. Palto aksamitne przybrane futrem.

943. Kostjum granatowy, przybrany szelkami.

944. Paltocik dla siedmioletniej dziewczynki z piaskowego sukna, przybrany fokami.

945. Palto z brązowego zamszu przybrane futrem z lamparta.

946. Suknia z granatowej wełny — pasek ponsowy.

947. Suknia z sukna koloru parme, układana w kontrafałdy.

948. Suknia z brązowej wełny — kołnierzyk aksamitny.

949. Suknia z wełny ciemno-fioletowej — żabot z crêpe de chine'u jasno-lila.

950. Szlafrok z deseniowej flanelki, przybrany szalem ze sztucznego jedwabiu.

951. Szlafrok z sukienka piaskowego, przybrany kolorowym galonikiem.

952. Kombinacja z crêpe de chine'u rozszyta wstawką.

953. 954. 955. Modne fasony spódnic.

956. Wzór na poduszkę — haft kolorowy, wielkość 43×28 cm.

UWAGA: Powiększone wzory robót, umieszczonych w Dodatku Mód, można nabywać w Administracji „Bluszczu“ po cenach następujących: chrus-makotka-ekran zł. 2.50; poduszka-serwetka zł. 1.50; drobne desenie groszy 75. Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących:

palto lub suknia fantaz.	zł. 3.50
suknia zwyczajna	zł. 3.50
bluzka	„ 2.50
formy dziecinne	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Korespondencję, dotyczącą mód i robót należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód Zamówień nie należy uskuteczniać na blankietach czekowych P. K. O.